Nr. 20. Warszawa, dnia 6 (19) Maja 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA

WSTRĄŚNIENIE W HISZPANII.

Była nadzieja po nieszczęśliwej wojnie, że otrzeźwiałe od klęski narodowej umysły, oczyszczone poczuciem winy sumienia, pomyślą o takiem przekształceniu państwa, któreby zarazem sięgnęło i w głąb społeczeństwa i całej istocie narodowej, o ile to w sprawach ludzkich być może, przyniosło nowe warunki, nowe formy, nową metodę i typ życia i rozwoju. Czego przedewszystkiem spodziewać się należało, to wejścia w siebie, skupienia się, skierowania żywotności na wewnątrz, poprawienia stosunków społecznych, podniesienia przedewszystkiem oświaty, zaoszczędzenia środków materyalnych społeczeństwa, tak, aby jaknajmniej wydawało na całą zewnętrzną potęgę i zewnętrzne blaski.

Nieszczęśliwa wojna, nieszczęśliwszy jeszcze traktat pokoju, strącając Hiszpanię na padół mocarstwa trzeciego rzędu, uwolnił ją sam przez się od nadmiernych wydatków na wojsko, flotę i dyplomacyę, a pozbawiając ją kolonii, nakazywał obmyślić nowy zupełnie sposób obciążenia społeczeństwa na rzecz instytucyj państwowych, zmienić systemat opodatkowania i ważniejszy jeszcze systemat wydatkowania, czyli celów państwowych zaopatrywanych przez skarb.

Żadnego z tych słusznych oczekiwań nie spełniła oligarchia zgrupowana naokoło dworu i wydająca z siebie od wieków rząd nad krajem, ministrów i generałów; zawiedli je i przedstawiciele narodu, wybierani w nieznacznej tylko mierze z pewną niepodległością przekonań, ze zrozumieniem i pragnieniem dobra publicznego. W kraju ciemnym, w którym syllogizm nie rządzi myśleniem, a niezbędne logiczne *distinguo* zostaje w niewoli u namiętności bądź biernej—idyotyzmu przesądnego,—bądź czynnej, —zaślepionego fanatyzmu — ocalenie mogło wyjść tylko z krytyki, z autokrytyki narodowej, w opozycyę światłą, bezinteresowną, uczuciową i rozumową zarazem, zorganizowanej. Opozycya od takiej macierzy wywodząca się nie łapałaby urzędów i pensyi, ale sięgnęłaby po władzę i do władzy tej przez ściśle określone, a rzeczywiście odradzające cele miałaby powołanie i prawo. Jeżeli owa autokrytyka narodowa, aby z łona swego wydać taką opozycyę — nie słów, ale czynów, musiałaby wprzód trzewiami narodu zatargać, to opozycya sama, znalazłszy się u władzy, musiałaby sięgnąć do najgłębszych fundamentów bytu społeczno-państwowego i, nie wstrzymując działalności państwa, nie burząc niczego, co funkcye niezbędne, nieprzerywalne podsyca i w sprawności utrzymuje, w tej nowej powojennej dobie dziejowej, po utracie Kuby, Filipin, i straszniejszej jeszcze międzynarodowego honoru — za jedyny, ale bezwzględny obowiązek swój uznałaby nowe zupełnie urządzenie narodu, takie, któreby już bez kłamstwa odrodzeniem nazwać było można.

Nie koniecznie stać by się to miało w straszliwych, odstraszających formach rewolucyi; owszem, mogłoby być dziełem reformy, niespokojnej, burzliwej może, ale bezkrwawej i niewtłaczającej narodu w konieczność wojny domowej. Ocalałby i Alfons XIII i Marya Krystyna i monarchia, cała jak jest: przepadłaby tylko dzisiejsza oligarchia, dzisiejszy dwór i dzisiejsze porządki, znajdujące swój ostateczny wyraz w duchowej anarchii. Ale nawet najskromniejsza i najcichsza reforma, proste uchwalenie nowych praw, potrzebnych w nowem położeniu — okazało się w dzisiejszej Hiszpanii przewrotem, na który zbrakło jej rozumu i odwagi, zbrakło obywatelskiej cnoty. Nie zrobiono nic, nie tknięto nawet generałów, których przerażająca liczba, około tysiąca, cięży nietylko ekonomicznie na budżecie, ale i politycznie i moralnie na narodzie. Marynarka, niemająca już przyszłości po za obroną brzegów, zachowała dawniejsze swe ramy — i dawniejsze też swe pensye, o które głównie jej chodziło. Szkoły ludowe zaniedbane i rzadkie; zarząd bez rzeczywistego udziału społeczeństwa; dozór funduszów publicznych wadliwy, słaby; podatki zwiększone a wydatki niepoprawione; na przemysł i handel, przygnębione już stratą kolonii, walą się nowe ciężary: fabrykant, kupiec, robotnik, rolnik — każdy jęczy.

Nowe opodatkowanie handlu wywołało w kwietniu r. b. opór i rozruchy, które jednak przeminęły bez głębszych śladów; ale gdy Związek narodowy, stowarzyszenie, w którem wszystkie powołania, wszystkie warstwy narodu mają swoich przedstawicieli, ujął ster w swe ręce, zorganizowany opór jednostek wstrząsnął już społeczeństwem i wystąpił w postaci zupełnego powstania przeciwko rządowi. Widownią ruchu jest pomorze wschodnie, Katalonia, Walencya, jest Andaluzya, jest i sam Madryt. W Barcelonie, Walencyi i Sewilli wzniesiono barykady. Lud barceloński, wygwizdawszy i obrzuciwszy bło-

tem ministra Dato, obrzucił potem kamieniami, cegłami i kulami wojsko rozrzucające barykady. Strzelano z dachów, rzucano pociski z dymników, lano ukrop na czynne siły przywracanego porządku. D. 10 maja w całej Hiszpanii urządzono jakby odrętwienie społeczne; zamykano sklepy, wiele fabryk, biur, pracowni. Teatra zamieniły się w kluby, z klubów w barykady, a barykady te wrzały walką. Młodzież trzymała ze związkiem, zapaliły się uniwersytety: wojna ogólna. W Katalonii i Walencyi żywioły i namiętności twórcze wzmocniły się dążnościami autonomicznemi, które tam zawsze były silne, a teraz, pod działaniem oporu, wydały z siebie nawet zapędy separatystyczne, rozrywające jedność narodową. Rozrzucono barykady, oczyszczono ulice, wprowadzono napowrót zewnętrzny, policyjny porządek: ale niewiadomo czy te tryumfy rządu p. Silveli będą trwałe.

Tydzień polityczny. Roberts d. 12 b. m. wtargnął do Kroonstadu, po kilkodniowych walkach, których strategicznym początkiem było zajęcie Brandfortu. Boerowie zaniechali obrony samego Kroonstadu, zapewne wskutek obejścia go przez tłumy jazdy i jezdniowej piechoty angielskiej. Wojna toczyć się będzie teraz we wschodnio-północnej części Oranii. Orańczycy niewielką mają do niej ochotę. Harrysmith, już opuszczony, zajęto na nowo. Buller w Natalu odzyskał Dundee i Glencoe, ale Boerowie trzymają przesmyki i przełęcze. Zamknięcie Bullera powinno być ich celem; Robertsa zmusić do zmiany frontu, ściągnąć w góry Smocze i ich północne rozgałęzienia już w Transwalu, bronić Waalu od rozpędzonych ku niemu zwycięzkich generałów angielskich pod Robertsem — takie są teraz obowiązki strategii boerskiej. Rozeszła się wieść o walce w samym Mafekingu w sobotę i opanowaniu go przez Boerów w niedzielę.

Cesarz austryacki d. 13 b. m. miał mowę do delegacyj, które dnia poprzedniego zebrały się w Peszcie: przymierze potrójne, uświetnione odwiedzinami w Berlinie, porozumienie z Rosyą co do bliskiego Wschodu, dobre stosunki ze wszystkimi.

D. 14 b. m. hr. Gołuchowski rozprowadził ten temat w komisyach budżetowych. Uzupełnia go podniesiony o 19 mil. guld. budżet wojskowy.

Prezesem delegacyi przedlitawskiej jest p. Jaworski.

D. 8. b. m. zebrała się nieszczęsna Rada państwa w Wiedniu. Po tygodniu już rząd myśli o pozbyciu się jej, bo Czesi nie dali się ugłaskać: grożą wznowieniem „obstrukcyi“ i już groźbę spełniać zaczęli.

Sejm galicyjski ukończył już swe prace, tegoroczne, właściwie przeszłoroczne spóźnione. Rozstrój zapanował między sejmem a rządem, między Stanisławem hr. Badenim a p. Pinińskim — o opieszałość i niechęć namiestnictwa i gabinetu w ważnej sprawie podniesienia krajowych opłat konsumcyjnych.

W Hiszpanii stan oblężenia w generalnych kapitaństwach: Katalonii, Walencyi i Andaluzyi. P. Silvela stoi i ukróca. Dyplomacya ostrzega o niebezpieczeństwach, grożących już nietylko p. Silveli, ale samemu Alfonsowi XIII.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PRACA NIEPRODUKCYJNA.

Cechą ogólnego postępu i rozwoju pracy jest dążność do zmniejszania jej natężenia i zarazem do podnoszenia jej produkcyjności. Wynalazczość ludzka w tej mierze poszła bardzo daleko; zastosowanie udoskonaleń technicznych w przemyśle, handlu, a nawet w pracy naukowej, dało możność oszczędzania sił fizycznych i umysłowych, a zarazem zachowywania ich energii i sprawności, rozumie się w takich wypadkach, jeżeli zastosowano odpowiednią organizacyę podziału pracy. Ten ogólny postęp ominął tylko jedną dziedzinę bardzo rozległą: pracę biurową, do której się wprzęgła wielotysięczna armia ludzi. Organizacya ta ze swoim odwiecznym systemem, z olbrzymim aparatem drobiazgowości jest najrozrzutniejszą szafarką sił ludzkich. Dopiero w ostatnich czasach sfery właściwe zaczęły zwracać na to uwagę, a urzędowe organy prasy kreślą charakterystykę tych warunków nienormalnych, które wymagają jaknajprędszej i gruntownej reformy.

Przed paru tygodniami *Warsz Dniew.* w osobnym artykule położył nacisk na przeciążenie pisaniną i formalistyką biurową pisarzy gminnych w Królestwie Polskiem; zaznaczył to, że w każdym powiecie panuje inny system biurowości bardzo powikłany. „W pewnym powiecie np. żądają przysyłania co kwartał odpisu kontroli, zanim się wpisze wydatek do księgi kasowej. Terminowych doniesień gmina ma taką ilość, że z góry na wszystkie pytania podrukowano blankiety z odpowiedziami. Naprzykład: „W gminie N. składów soli niema.“ „W gminie N. dżumy niema,“ „nosacizny końskiej niema,“ „nie umarł nikt z rezerwy, ktoby posiadał order wojskowy.“ Prócz tego odpowiada się na setki tysięcy poszukiwań osób: „W gminie N., pomimo starannego poszukiwania, nie znaleziono mieszkańca gub. Kazańskiej“ itd.

Organ ministeryum skarbu *Torgowo-promyszl. Gazeta*, scharakteryzowała wogóle wzrost pracy biurowej, pochłaniającej urzędnikom cały czas wolny. Zdaniem prasy rosyjskiej, objaw ten wogóle jest wynikiem braku zaufania ustawodawstwa i administracyi do urzędników. „Jeżeli spojrzymy głębiej w dziedzinę ustawodawstwa, dostrzeżemy, iż kieruje się ono dwoma względami, które np. za granicą nie mają znaczenia. Po pierwsze istnieje nieufność względem zdrowego rozsądku i pojętności każdego przyszłego czytelnika ustawy. Nieufność ta zniewala ustawodawcę nietylko do uzupełniania tekstu każdego prawa mnóstwem zdań i wszelkich dodatków, lecz z powodu niemożności przewidzenia różnych wypadków niepojętności przyszłego wykonawcy prawa — trzeba otwierać na oścież drzwi do wyjaśnień i tłomaczeń tekstu prawa, który i tak już jest obciążony rozmaitemi uwagami i dodatkami.“ To też gdy naprzykład w innych państwach — pisze gazeta urzędowa — wszystkie organy sądu wymierzają sprawiedliwość, dzierżąc w ręku jedną książkę prawa cywilnego lub karnego, tylko w Rosyi każdy sędzia, dla rozstrzygnięcia jakiejkolwiek sprawy, musi mieć cały pokój zapełniony szafami ko-

Wł. Orkan.

Z tej smutnej ziemi...

(KOMPOZYCYA LIRYCZKA). *)

(Dokończenie).

Rzędem jałowce zasępione siedzą,
Iośniedziałe zboże się kołysze,
Gdy syn człowieczy znędzniały i bosy
Wśród głuchej pustki idzie wązką miedzą.
Wstają ku Niemu wiatrów towarzysze:
Łzawa Niedola, rozpuściwszy włosy,
Jak siny obłok przez powietrze leci:
Wychudła Nędza wlecze się po tłoku
I z niemą prośbą wyciąga swą szyję.
Ból się w jałowcach po za cieniem kryje,
Lecz jęk zalata hen — i ogień świeci,
Jak fosforyczne próchno, w jego oku.
A ciemna Rozpacz z wiatrem się szamoce
I ręce łamie nad głową i wyje,
Jak zawierucha pól w zaduszne noce.
Za odchodzącym w dal wołają: „Chrystel..“
I wyciągają w przestrzeń swe ramiona,
Tam—gdzie mgławice kręcą się wieczyste,
Gdzie się poczyna pustka nieskończona.
A On tym smutnym i cierpiącym srodze
Samotne krzyże wskazuje po drodze
I niezastygłe jeszcze w dłoniach rany
I wydeptane ścieżki na kurhany.

I gdy tak smutny w milczeniu przechodzi
Łany ziół pełne, chwastów i kąkolu —
Widzi na pustem i odludnem polu,
W miejscu, gdzie na krzyż droga się roz-
[chodzi,
Poszytą w żółty mech—kapliczkę z drewna,
Przy niej człowieka klęczącego w pyle;
Modlitwa jego prosta jest i rzewna.
I, niewidziany, staje niemą chwilę,
Żałośnie patrząc, jak Dusza, gdy wodzi
Okiem po świecie obcym, bezrozumnym.
I niepoznany w smutku swym—odchodzi.

Widzi gromady zajadłe i wściekłe,
Wzajem na siebie podnoszące ręce,
Postaci straszne, czarną krwią ociekłe,
Twarze zsiniałe i napół zwierzęce.
Rodziny widzi, które dzień odchodzi
Przy kłutni, a noc przy bitce spotyka.
Widzi, jak córka własną matkę głodzi,
A syn rodzica do chlewa zamyka —
Słyszy przekleństwa rzucane na dzieci
I na swych ojców, którym już nie świeci
Pamięć niczyja... Litanie złorzeczeń
Z ust do ust prawie idące od wieków,
Jak stare mity.. wszystkie te rozpacze
Głodzonych jaskiń, próby odczłowieczeń,
Fale czerwone spadających ścieków —
Słyszy i widzi... I łzą odkupienia
Czystą, serdeczną w swojem sercu płacze—
Nie nad złem wielkiem, co się rozprzestrze-
Ale nad nędzą, która to złe rodzi. [nia,

I w takim smutku osiedla przechodzi,
Jak żal, co nigdy odpoczynków nie miał,
Stare cmentarze opłakując rzewnie,
Aż wreszcie—świeże widząc groby, że w nie
Żywi się kładą w rozpaczy — oniemiał
I odtąd idzie w smutku swym i w głuszy
Za trumną własnej, oniemiałej duszy.
Głowa na piersi znużona opada;
I staje mu się twarz widmowo blada,
Gdy krew do serca uchodzi po kropli;
A włosów strączki w kształt lodowych sopli
Deszczem płynących w południa gorącu,
Perlistym potem ociekają w słońcu.
I we mgle potu, gdy idzie przez łęgi,
Tworzą się z pereł smużne światłokręgi—
Stubarwne tęcze wiszą Mu nad głową.
A gdzie na trawę stąpi nogą bosą,
Tam krew się miesza z przeźroczystą rosą,
Znacząc śladami tę drogę krzyżową.

Zapatrzon w księgę żywotów okrutną,
Pod łez ciężarem częstokroć upada.
Wówczas Mu ziemia jękiem opowiada
Żywota swego epopeję smutną:
Ile grobowców szatą swą okrywa,
Ile ciał martwych bez trumien spoczywa
Pod jej opieką... Ile krwawych wschodów
Przeżyła senna... Ile już narodów
Deptało po niej, sądząc, że umarła —
Jakie tu drzewiej mieszkały olbrzymy,
Zanim wyrosło pokolenie karła:
Jakie tu nad nią walk wisiały dymy
I jakie deszcze spadały ogniste,
W krwawych potopach dając jej ochłodę...
„W cichości znoszę ukochania mękę,
Stróżując grobów—szepce —Lecz, o Chry-
[ste!
Czy mnie ukocha pokolenie młode?“
A On, powstając, w mrok wyciąga rękę
I rzecze smutnie: „Ukochało cienie...“

*) Utwór odznaczony na konkursie poetyckim *Prawdy*.

mentarzów i wyjaśnień — do ustaw wielotomowych z równie wielotomowymi dodatkami. Powtóre — głównym punktem wyjścia ustawodawstwa jest nieufność względem uczciwości pracownika. Wszelkie rozporządzenia ustawy są przejęte myślą, że obywatel jest podstępny i przezorny, że więc ustawę należy pisać dla podstępnych i przezornych, tj. tak chytrze i skomplikowanie, ażeby przyszły wykonawca prawa nie mógł jej obejść. Gdy atoli w rzeczywistości przytrafiają się przecież uczciwi, na których nieszczęście ustawa staje się dla nich twardą i uciążliwą, i ponieważ są przewrotni, nierównie zręczniejsi od tych, których ustawa ma na względzie, więc w szerokiej dziedzinie stosowania prawa znowu otwiera się pole do argumentowania, wyjaśnienia itd. prawa— najpierw przez wykonawców, a powtóre przez departament kasacyjny senatu. Stąd właśnie płynie źródło niewyczerpane pracy biurowej. Na tym rysie psychologicznym podwójnego niedowiarstwa względem obywatela wogóle i urzędnika w szczególności, opiera się też mechanizm centralizacyi zarządu państwowego, wytwarzający korespondencyę bez końca i wzmagający się po wydaniu każdego nowego prawa, po stworzeniu każdej nowej posady."

Uwagi powyższe, wypowiedziane przez organ urzędowy, mają doniosłe znaczenie. Świadczą one, że w sferach właściwych istnieje dążność do zreformowania mechanizmu obecnego. Wszelkie uproszczenia oczywiście zmniejszą pracę nieprodukcyjną, a nadto zmienią cały system jej wysokie nieproporcyonalnego podziału i wogóle wpłyną na zmianę warunków. Pierwsze objawy zapowiadających się reform w tej mierze widzimy na poczcie, gdzie system i warunki pracy oddawna domagają się już zmiany. Oto np. według doniesienia dzienników rosyjskich, dawny projekt głównego zarządu poczt i telegrafów w sprawie zrównania wynagrodzenia urzędników pocztowo-telegraficznych z płacą urzędników komor celnych i urzędników Banku państwa, dochodzi już do skutku (35 rubli miesięcznie stanowić ma najmniejszą pensyę urzędnika). Według projektu ministeryum, praca urzędników pocztowych ma być unormowana w stosunku 10 godzin na dobę. Naczelnicy stacyj pocztowo-telegraficznych będą upoważnieni do najmowania za płacę dzienną osób obeznanych z telegrafowaniem i służbą pocztową, w razie, jeżeli personel danego biura nie będzie mógł podołać pracy. Jednocześnie główny zarząd poczt i telegrafów przedstawił do zatwierdzenia władz wyższych sprawę zmniejszenia lat służby, dających prawo do emerytury. Sprawa podwyższenia płacy podobno ma być uregulowana już w końcu roku bieżącego. Nadto od roku przyszłego wszyscy urzędnicy pocztowo-telegraficzni mają dostać mieszkanie w naturze, albo pieniądze na komorne, w stosunku do ceny mieszkań w danej okolicy. Wreszcie, o ile wiemy, z reformą tą wiąże się projekt uproszczeń mechanizmu pracy. Dotychczas uproszczenie to wprowadzono tylko w kwitach, wydawanych publiczności przy wysyłaniu listów pieniężnych, rekomendowanych i depesz. Zmiana, na pozór drobna, jak sprowadzenie na owych kwitach kilku pozycyj do jednej, zaoszczędziło w masie setki godzin zarówno urzędnikom pocztowym, jak i publiczności.

Wszystkie reformy powyższe są nieuniknioną koniecznością tem bardziej, że rozległa machinerya pocztowa rozwinęła się olbrzymio, podczas gdy cały biurowy system pracy od lat wielu pozostawał bez zmiany. Oto parę cyfr, wyjętych z najświeższego zeszytu *Wiest. minist. finan.*: W r. 1889 dochód skarbowy z poczty wynosił 30,2 mil. rubli, rozchód 25,5 mil. rb., w r. 1890 dochód 30,9 mil., rozchód 25,8; w 1891 dochód 32,5 mil., rozchód 25,6 mil., w 1892 dochód 34,0, rozchód 23,1; w 1893 dochód 35,6, rozchód 26,5; w 1894 dochód 37,2, rozchód 27,6; w 1895 dochód 39,2, rozchód 28,5; w 1896 dochód 41,4, rozchód 29,6; w 1897 dochód 41,8, rozchód 32,4; w 1898 dochód 44,8, rozchód 33,8 milionów. Tym sposobem w okresie 1899—1898 dochód z instytucyj pocztowo-telegraficznych wzrósł o 148%, a rozchód o 138%. A oto wzrost ruchu: w r. 1889 załatwiono 371,4 mil. ekspedycyj, w 1890 — 384,1, w 1891 418,4, w 1892 — 439,9, w 1893 — 462,0, w 1894 — 502,8, w 1895 — 545,3, w 1896 593,1, w 1897 — 652,5, w 1898 — 710,5 milionów. Tak więc w okresie dziesięcioletnim ruch pocztowy wzrósł o 191%. W r. 1889 Rosya posiadała 5,982 instytucye pocztowo-telegraficzne, w r. 1898 już 9,363, a więc w ciągu dziesięciu lat liczba ich wzrosła o 156%. Oczywiście w miarę zwiększania liczby biur pocztowych i telegraficznych zwiększano także liczbę pracowników; ale jak wykazują inne dane i zabiegi głównego zarządu poczt, personel ten nie odpowiada istotnym potrzebom. Wykazany w powyższych cyfrach rozwój ruchu pocztowego przyczynił się do olbrzymiego wzrostu i skomplikowania pracy. Z tego więc względu projekt reform zaliczyć trzeba do bardzo ważnych.

Mniej więcej takie same stosunki panują i w dziedzinie komunikacyi, z tą wszakże różnicą, że mechanizm biurowy jest tam jeszcze trudniejszy, a praca nieprodukcyjna pochłania olbrzymi procent sił ludzkich i większą część czasu. Na kolei Wiedeńskiej np. urzędnicy, zwłaszcza w ekspedycyach towarowych, są obciążeni olbrzymimi stosami papierów, raportów, rubryk. Każdy przedmiot wysłany koleją musi być tysiąckrotnie opisany, a jeżeli będzie uszkodzony lub zaginie, wtedy już niema końca tej pisaninie. Sfery sternicze kolei Wiedeńskiej nie pomyślały jeszcze dotąd o uproszczeniu tego mechanizmu zabójczego. Nie myślą o tem również zarządy innych kolei.

Ten nadmiar pracy niepotrzebnej przyczynia się do nierównomiernego jej rozkładu. Pracownik, przytłoczony stosami papierów, pomimo największej gorliwości, pomimo najlepszej pamięci, musi popełniać omyłki skutkiem wyczerpania sił i uwagi. Stąd nowe powikłania, nowa pisanina. Cierpi na tem nietylko przedsiębiorstwo komunikacyjne, nietylko liczna rzesza pracowników, ale i publiczność. Cały więc mechanizm dotychczasowy wraz z aparatem przepisów, systemów i rozkładu pracy domaga się stanowczej reformy.

Co do pracy i przepisów, świeżo *Russk Wied.* scharakteryzowały ich wadliwość w sposób następujący: „Obowiązujące przepisy nasze nie zawierają żadnych postanowień o godzinach pracy dla służby kolejowej. Opieka nad tą pracą spoczywająca w rękach władzy administracyjnej, wytworzyła z biegiem czasu szereg przepisów, które niejednokrotnie wcale nie mogą być wykonywane. Tak np. cyrkularz z r. 1896,

---

I na powietrzu krzyż nad ginącemi
Czyniąc — odchodzi... A jęk smutnej ziemi,
Rozdzierającej w żalu mgieł odzienie,
Płacze w Nim samym, dokoła i wszędzie...
I czuje sercem, że na tej tu ziemi
Niema spoczynku dlań — bo gdzie usiędzie,
Wyjdą ku Niemu skargi, łzy i modły
I wszystkie krzywdy przypełzną pod nogi
I wszystkie płacze zejdą się wieczyste
I poczną wołać: „Oto nas zawiodły
Jasne nadzieje; oto nas i bogi
Już opuściły... Chryste! ratuj, Chryste!.."
A On wołania te słysząc płaczliwe,
Skonałby z żalu i osrebrzył lice,
Spokojem martwych patrząc w nieszczęśliwe,
Jako się patrzą lodowe księżyce.
Na tej tu ziemi łez i wiecznych cieni,
Ziemi płaczących brzóz, jodeł i sosen —
Gdzie ludzie dawno zapomnieli wiosen.
W jesienie własnych smutków zapatrzeni,
Spoczynku nie ma...
I nigdzie nie spocznie
Chrystus, po grobach smętnych idąc dalej
W kraj widnokręgów, szarzejących mroczenie,
Kędy tęsknota błędne ognie pali...
I przy zachodzie zórz, krwawiących szczyty,
Wstępuje Chrystus na górę olbrzymią,
Stromą i pustą, skąd widok odkryty
Na obszar niemy... Kaskady się dymią
U stóp, a dalej sino-łuskie węże —
Błękitne rzeki wiją się daleko,
Gdzie wzrok spienionych paszcz ich nie dosięże...
[illegible] ponad niemi powietrzem się wloką
I, jak znużone wędrówkami ptaki,
Chmurami wodne obsiadają krzaki...

W dolinie — miasto rojne jak mrowisko,
Dalekie, mroczne, a zdaje się blizko
Wieżami sięgać; zielono kopuły
Słońcami patrzą ku zorzy zachodu.
Po dachach szarych dymy się rozsnuły...

I patrzącemu zwolna w myślach wstaje
Wizya senna umarłego grodu...
Święte bóżnice i oliwne gaje
I palm ogrody stają przed oczyma —
Lecz serca jego już nie uwesela
Piękna — nad wszystkie córy Izraela
Piękniejsza — pani miast Jerozolima.
Bo zdaje mu się, że stoi na szczycie
Głuchej Kalwaryi, usłanej obficie
Grobami ofiar. A u stóp, w dolinie,
Cedron falami czerwonemi płynie...

I łzą boleści zachodzą mu oczy,
Gdy patrzy w rzekę, co fale krwi toczy —
I wielkim smutkiem ciemnieją Mu lice,
Gdy okiem idzie przez rojne ulice...

Nic — nic po wiekach... To samo, to samo...

* * *

Świat stygnie. Wnętrze ziemi gorejące
Kostnieje w lód.
Zwolna śmiertelny snuje chłód
Na szarzejące ziem powierzchnie...
Lodowy dzwon
Grające dźwięki przenosi na słońce —
I odlatują stada wron
Z tej ziemi, zanim dzień zamierzchnie...

* * *

...A nad urwiskiem pędzi tłum
W tanecznem, wartkiem kole —
Ubocznie idzie wiatrów szum,
Potoki huczą w dole...

Narodu ciżba, ludu moc
Szalonem kołem pędzi —
Już nad głowami zwisła Noc,
Czas usiadł na krawędzi...

Dokoła zamrok wzdłuż i wszerz
Otoczył ludzkie plemię...
„Ty Boże z nieba ogień krzesz —
Niech padnie tu na ziemię!.."

I pękły chmury — wypadł grom,
Oślepił tłumne rzesze —
Ziemia dygoce — skały drżą,
A piorun ogień krzesze...

Z rozdartych krwawo, czarnych łon
Wylata błysk za błyskiem
Naród szaleje: „Śmierć i skon!" —
I tańczy nad urwiskiem...

Na śmierć! na zabój! Rozpacz! szał!
Narodzie szalej, szalej!..
Ha! ha! — i strzępy krwawych ciał
Po skałach tańczą dalej...

. . . .

Cisza i spokój. Martwy sen.
Świt na wierzchołki wyszedł gór —
A nad urwiskiem, hen,
Na zaginionej, wąskiej perci
Usiadł ponury anioł śmierci
I krew strzepuje z czarnych piór.

uchylając przepisy poprzednie, pozwala „tymczasowo, w okresie zwiększonego ruchu,“ na 14, a nawet na 16 godzin pracy bez przerwy. Cyrkularz z r. 1897, wychodząc z tego założenia, że służba kolejowa zbyt mało ma wypoczynku, zakazał dyżurów 24-godzinnych bez przerwy dla telegrafistów, zwrotniczych i sygnalistów, a jednocześnie określił długość takiego dyżuru na stacyach z większym ruchem na 8 godzin. Lecz oto w kilka miesięcy potem nowy cyrkularz głosi, że w razie potrzeby możliwe są wyjątki od tego przepisu. Taki brak systematyczności przepisów i niemożność dokładnego ich wykonania zniża ich wartość. A i kontrola nad wykonaniem przepisów kolejowych pozostawia wiele do życzenia od czasu, kiedy ją odebrano inspekcyi fabrycznej a powierzono centralnej inspekcyi kolejowej, zajętej mnóstwem innych spraw.“

Warto byłoby w tej mierze wzorować się na systemach zagranicznych. Istnieją tam ustawy specyalne, normujące długość dnia pracy służby kolejowej i kontrolę nad sumiennem wypełnianiem przepisów. Przoduje pod tym względem Szwajcarya, która wprowadziła *maximum* 12 godzin pracy na kolei, z przerwą jednogodzinną. Służba pociągowa wypoczywa tam najmniej 8—9 godzin bez przerwy; nadto zarządy kolejowe obowiązane są dać tym pracownikom w ciągu roku 52 dni zupełnego wypoczynku, t. j. więcej, niż w innych krajach (w Prusiech liczba godzin wolnych wynosi 12—24, w Belgii 28, Holandyi 26, Francyi 26—36). Ustawa szwajcarska strzeże pilnie praw służby kolejowej i za uchylenie się od nich grozi karami w wysokości 500—1,000 fr., nawet w takim razie, gdy przekroczono prawo za zgodą pracownika.

W państwie rosyjskiem sfery właściwe zwróciły już uwagę na ten cały mechanizm, którego wynikiem jest praca nieprodukcyjna i nierównomierna w przedsiębiorstwach komunikacyjnych. Można więc spodziewać się pożądanych reform w tej mierze *).

Zen. Piet.

*) Sprawę unormowania w drodze prawodawczej długości dnia roboczego pracowników kolejowych przekazano już do rozpoznania najbliższemu zjazdowi przedstawicieli kolei rosyjskich.

Z NIEMIEC.

Berlin, 9 maja.

La comedia e finita. Rząd otrzymał żądane 38 okrętów, a centrum tytułem honoraryum otrzymało ustępstwa, których szczegóły ukrywane są w tajemnicy. Jakakolwiek jednak będzie ta zapłata, czy będzie to figowy listek w myśl *lex Heinze*, przywołanie napowrót zakonu oo. jezuitów, lub też założenie wydziału katolickiego przy którymkolwiek z uniwersytetów, w każdym razie to honoraryum polityczne nie będzie za wielkiem w stosunku do czynów centrum. Rolę, którą ono odegrało w sprawie ustawy marynarkowej, była tak trudna, postawa, którę zajęło, tak karkołomna, a gorliwość tak zadziwiająca, że ministrowie pruscy zapewne wynagrodzą swego kontrahenta według zasług. Naprzód zwróćmy uwagę na to, iż centrum jeszcze przed 10 laty uchodziło za rdzeń i opokę opozycyi. Trójca Windthorst, Richter, Grillenberger reprezentowała ducha buntu i niezadowolenia w sejmie rzeszy. Centrum występowało jako przysięgły obrońca ludu katolickiego, a nawet ludu wogóle. A tu rząd już po raz drugi domagu się od niego zatwierdzenia flotyli, nie motywując swych nagłych pretensyj ani wyjątkowymi wypadkami, ani względami demokratycznymi. Gdy w 1898 r. sekretarz stanu, Hollman, zażądał na ten sam doniosły cel 400 milionów marek, bawarski odłam stronnictwa ultramontańskiego odmówił wyraźnie swego poparcia. Schädler w imieniu secesyi ultramontańskiej napiętnował spotęgowane zbrojenia, jako niepotrzebne niepokojenie umysłów i szkodliwe budzenie uśpionych waśni. Dopiero dr. Lieber uratował sytuacyę, wykonawszy po mistrzowsku słynny taniec hiszpański fandango. Ustawa przeszła, a potężne stronnictwo uniknęło rozłamu, jeśli nie zupełnego rozbicia. Na nieszczęście jednak rząd, pomimo iż Hollmann uroczyście przyrzekł w przeciągu 7 lat nie wznawiać swych żądań, wystąpił z nową ustawą. Sekretarz stanu Tirpitz, który również uroczyście zapewniał, iż ani się domyśla treści obietnicy swego poprzednika, zażądał tym razem nie 19 lecz 38 okrętów. A nadto 10 tak zwanych zagranicznych dla obrony Niemców uciskanych w krajach zamorskich oraz szerzenia kultury i etyki pomorsko-pruskiej. Centrum jednogłośnie odmówiło swej zgody. Wszak stronnictwo polityczne kontrolowane, krytykowane i wyszydzane przez rywali i przeciwników, nie może tak prędko odbyć „naturalnej ewolucyi“ jak osobnik pojedynczy. Nie może ono zmieniać przekonań z dnia na dzień jak kołnierzyki, program jest cnotą dziewiczą partyi, a najmniejsza plamka odrazu psuje reputacyę stronnictwa w oczach świata. To też, gdy Tirpitz wobec wszystkich w sejmie rzeszy oświadczył się centrum, ono, zaczerwieniwszy się i spuściwszy oczy, odparło stanowczo: — Nigdy! Odprawa ta kosztowała stronnictwo tem mniej walki i wysiłków, że rajfur polityczny i mistrz pozakulisowych targów, dr. Lieber, wówczas zachorował, a miejsce matadora partyjnego zajął Grober, mąż zlekka muśnięty przez zefir idej demokratycznych. Opozycya sejmu rzeszy zacierała ręce i mówiła: „der Lieber ist zwar gröber (oprykliwszy) aber der Gröber ist lieber (milszy).“ Wszystko to były jednak pozory i farsa: podczas gdy opozycya wychwalała cnotę i wstydliwość panieńską centrum, całowało się ono już z Tirpitzem pokryjomu. Trzeba przyznać, że nie mogło ono nawet inaczej postąpić; cnota cnotą, a interes interesem. Rząd, należy pamiętać, zagroził w razie odrzucenia ustawy marynarkowej, rozwiązaniem parlamentu, ponowne wybory zaś pociągnęłyby za sobą dla centrum nowy wydatek co najmniej milionowy, jeśli obliczymy koszty przeprowadzenia posła na 10,000 marek: trzeba rozesłać do kilkunastu tysięcy miejscowości agitatorów i mówców, trzeba założyć nowe pisma, drukować odezwy, zwoływać zebrania, kłócić się i polemizować, nacierać i odpierać napaści, a rezultat w ostateczności nie jest pewny. Partya, która ma już stu kilku posłów, może raczej stracić, niż zyskać.

Rząd postanowił kuć żelazo dopóki gorące. Wojskowi i urzędnicy zwoływali zebrania, na których głoszono zasadę „opancerzonej pięści“ i urządzano odczyty z demonstracyami. Prasa pół-urzędowa ze zdwojoną siłą wychwalała zasady nowej, nieco za skromnej ustawy marynarkowej, a nurtami literatury popłynęły niezliczone broszury. Na zebraniach zaś przeciwników flotyli występowali profesorowie uniwersyteccy w obronie marynarki, dowodząc jej konieczności bądź motywami ekonomicznymi, bądź argumentami historycznymi. Na nieszczęście centrum nie miało nawet pewności, iż opozycya szczerze nie życzy sobie potężnej flotyli. Przeciwnicy ustawy zachowywali się jakoś apatycznie, w ich filipikach powtarzała się wciąż tylko zwrotka: „szkoda pieniędzy,“ a w mowach ich brakło prawdziwego oburzenia i zapału. Narodowi liberałowie jak jeden mąż sięgnęli do kiesy — ogółu, wolnomyślni krzyknęli „hurrah,“ a odłam Richterowski — jak twierdzi fama — tylko nie chcąc martwić swego dyktatora Richtera, nie przyłączył się do tego patryotycznego okrzyku; jedynie krańcowa lewica stawiała zawzięcie opór rządowi. W dodatku sympatya dla Boerów *(afrykańskich)* i nienawiść dla Anglii, szowinizm i buta narodowa wzmogły się obecnie w Niemczech tak silnie, iż centrum bojąc się odpowiedzialności za swój krok w razie odrzucenia ustawy, straciło głowę i rzuciło się publicznie w objęcia Tirpitza. Dla uratowania jednak pozorów i uspokojenia stugębnej opinii publicznej uchwaliło pokryć koszty flotyli podatkami, zaczerpniętymi z kieszeni warstw zamożnych. Nie chce ono np. słyszeć o podatku pośrednim, który obciąża przeważnie lud pracujący. Jako źródło dochodów, ma posłużyć opodatkowanie giełdy, losów loteryjnych, drogich win itp. Jest to bezwarunkowo postęp w zestawieniu ze światłymi poglądami hr. Bismarcka (syna), który na zebraniu publicznem oświadczył niegdyś, iż podatek od psów jest stokroć większem nieszczęściem, niż prawa wyjątkowe.

Nadto centrum przy tej sposobności wystąpiło w roli obrońcy upadającego rolnictwa. „Związek rolników niemieckich“ napomknął mianowicie, iż podczas sądu ostatecznego nad ustawą rządową stanie wbrew tradycyi po lewicy, jeśli rząd przygotowując wyprawę w kraje zamorskie, po złote runo, nie opodatkuje w ten lub inny sposób chleba powszedniego na korzyść magnatów rolnych. Centrum połączyło się z wytwórcami zboża i mięsa, aby złośliwa opinia publiczna nie plotkowała, iż nabożne centrum popiera interesy ziemskie egoistycznych bandlarzy i fabrykantów. Rząd pruski przyrzekł uroczyście, iż podczas odnowienia traktatów handlowych będzie strzegł dobra agraryuszów i junkrów, jak źrenicy oka swego.

H. F.

MŁODZIEŻ POLSKA ZA GRANICĄ.

Dane, które niżej wykazuję, jeżeli nie są matematycznie dokładne, to w każdym razie, obejmują główniejsze ogniska umysłowe Europy zach., w których się skupiła młodzież polska — dają dokładny obraz rodzaju studyów oraz kierunku, jaki w nich obecnie przeważa; pozwolą one również na wyprowadzenie wniosku, dlaczego ten kierunek, jest takim i poniekąd nie może być innym w obecnych warunkach.

Na dziewięć przeszło tysięcy młodzieży polskiej, kształcącej się w wyższych zakładach naukowych — prawie piąta jej część przypada na Europę zachodnią. Ogółem do 76 wyższych zakładów n. z. Europy w 1899 r. uczęszczało 1,575 Polaków-studentów i studentek. Z liczby tej studyowało: w Niemczech 833, w Austryi (nie licząc Krakowa i Lwowa) 384, w Szwajcaryi 194, w Belgii 83, Francyi 81. Razem 1,575. W liczbie tej studentek — 144, czyli 9,14%. Główny prąd młodzieży płynie za granicę z Rosyi. Pod tym względem posiadamy następujące dane: Wśród całej masy młodzieży pochodzi: z Królestwa i zach. gub. Cesarstwa 806 osób, z W. Ks. Poznańskiego 398, z Galicyi 371.

Podział podług studyów nie dał się ściśle przeprowadzić. Brak nam danych co do 223 studyujących. Wiemy, iż w liczbie tej niemal wszyscy uczęszczają do technicznych zakładów naukowych, jednak dla ścisłości podajemy tylko dane stwierdzone. Największa liczba studyujących wypada na inżenieryę *) — 606 osób, medy-

*) Tutaj wliczamy: architekturę, drogi i mosty, górnictwo, hutnictwo, elektrotechnikę, mechanikę, tkactwo, przędzalnictwo, chemię techniczną.

cynę studyuje 147, teologię 111, rolnictwo i leśnictwo 93, przyrodę 86, prawo 77, filozofię 76, handel 66, nauki społeczne 47, weterynaryę 23, historyę i literaturę 20. Razem 1,352 *).

Z powyższych danych widzimy przedewszystkiem, iż Niemcy kształcą główną masę młodzieży polskiej — 52,9%.

Dzięki swej wysoko rozwiniętej wiedzy technicznej, wzorowo urządzonym politechnikom—Niemcy przyciągają młodzież dążącą za granicę po wiedzę techniczną. Prawie połowa młodzieży pochodzącej z Królestwa kształci się w Niemczech na politechnikach. Drugie tyle dostarcza uniwersytetom niemieckim Ks. Poznańskie, lecz tu głównie dlatego, że Księstwo nie posiada dotychczas żadnego wyższego zakładu naukowego. Co do podziału podług studyów tej części młodzieży, tablice statystyczne wykazują, iż na Niemcy w porównaniu z Austryą, Belgią, Francyą i Szwajcaryą, razem wziętemi, przypada najwięcej inżenierów (382), prawie wszyscy teolodzy (103) i wreszcie 3/4 rolników (69). Podkreślamy tutaj ten fakt, bo wyjaśnić może on nam dużo, kiedy będziemy mówili o życiu duchowem młodzieży za granicą.

Studentki, jak zaznaczyłem wyżej, stanowią 9,14% ogółu młodzieży. Studyują przeważnie medycynę (76), przyrodę (46), następnie nauki społeczne, filozofię, historyę i literaturę (26). Studya swe odbywają przeważnie w Szwajcaryi (86) i Francyi (41), w Niemczech nieliczne jednostki. Dziewięćdziesiąt pięć procent studentek pochodzi z Królestwa i Cesarstwa. Procent ten (9,14) spadnie do 1,6, jeżeli weźmiemy go w stosunku do całej masy kształcącej się młodzieży polskiej. Liczba na pozór nader mała, jednak jeżeli ją porównamy z liczbą studentek-kobiet śród innych społeczeństw i uwzględnimy warunki, w jakich u nas kobieta ma dostęp do wyższych studyów — nie ustąpimy pod tym względem ani trochę Zachodowi. Francya np. ze swoją starą kulturą, okrzyczanym postępem i radykalizmem, liczy, podług statystyki ministeryum oświaty za rok 1899 — 26,529 studentów, w tej sumie kobiet 559, co stanowi 2,1%. Porównanie z Niemcami da wyniki jeszcze korzystniejsze dla Polek. Tymczasem warunki u nas i na Zachodzie są wręcz odmienne. Tam kobieta, mając wstęp do wyższych zakładów naukowych, pozostaje w kraju, a tem samem ma już drogę o połowę ułatwioną. U nas musowy wyjazd dla studyów za granicę pociąga za sobą ogromne koszty i to właśnie stanowi największą przeszkodę, uniemożliwiającą dostęp do nauki szerszym masom naszych kobiet. Pomimo to niemal cały zastęp studentek Polek rekrutuje się ze sfer mniej niż średnio-zamożnych; wiele z nich zdobywa środki na wyjazd ciężką pracą nauczycielską. Świadczy to tylko o ich samodzielności i dzielności charakterów.

Biorąc w odsetkach podział podług studyów młodzieży polskiej za granicą, otrzymamy, iż przeszło 75% **) kształci się w kierunku czysto praktycznym i wywędrowało za granicę głównie po wiedzę techniczną; czystą teologię — 8,2%, filozofię, przyrodę i nauki społeczne 16,8%, w tej liczbie wyłącznie nauki społeczne 3,5%. Zastrzedz tu jednak musimy, iż wśród studyujących filozofię jest sporo teologów, wśród przyrodników zaś — sporo przyrodników-techników o kierunku czysto praktycznym.

Na półtora tysiąca kształcącej się młodzieży 3,5% studyuje nauki społeczne. Jeżeli jednak zwrócimy uwagę, iż w Królestwie i Cesarstwie nie mamy specyalnych w tym kierunku zakładów naukowych, ani też wydziałów, procent nasz, biorąc go w stosunku do całej młodzieży polskiej, spadnie do nader drobnego ułamka (0,4%). Stosując tę samą zasadę do studyujących wogóle teoretycznie-naukowo, nie praktycznie, przy uwzględnieniu już wydziałów filozoficznych na uniwersytetach galicyjskich, otrzymamy na tę dziedzinę studyów 6%.

Widzimy więc, iż kierunkowi teoretycznemu w porównaniu z innemi społeczeństwami poświęca się u nas nader drobny odłam młodzieży.

Rozwijający się coraz bardziej przemysł i handel odkrył nowe drogi zarobkowania. Popyt na wyspecyalizowane siły techniczne i handlowe pchnął całe zastępy młodzieży w tym kierunku; przemysł i handel — oto drogi, na których uśmiecha się jej byt zapewniony, dobra karyera.

Niemałą odgrywa rolę także wpływ rodziny i otoczenia. Brak wreszcie poparcia i ze strony samego społeczeństwa. Dawno przebrzmiały już w prasie echa „pracy organicznej,“ kierunek zmienił się zupełnie, w społeczeństwie jednak hasła: „wzbogacajmy się, róbmy karyery, gdzie się da“ — zapuściły korzenie głęboko i przetrwały dotychczas. Mamy też najrozmaitsze stypendya, stosunkowo bardzo liczne, dla techników, handlowców, medyków, prawników; — dla dziedziny nauk filozoficzno-społecznych niemal nie posiadamy. A tego rodzaju instytucye, jak Kasa Mianowskiego, Akademia Umiejętności, wydają zapomogi najczęściej tylko ludziom już wykwalifikowanym, takim właściwie, co już studya swoje pokończyli.

Warunki materyalne większości młodzieży są nieraz ciężkie, cięższe niż w kraju wobec niemożności zarobkowania. Tymczasem utarło się u nas przekonanie, iż za granicę wyjeżdżają tylko majętni. Zapominamy o tem, iż jest spora liczba jednostek (szczególnie wśród studentek), które zdobyły środki na pierwsze potrzeby pobytu za granicą pracą nauczycielską i po pewnym przeciągu czasu zostają zupełnie bez grosza; dalej ci, którzy mają dostęp do wyższych zakładów naukowych tylko za granicą, a ta kategorya młodzieży, z małymi wyjątkami, wcale nie należy do opływających w dostatki. Wobec braku stypendyów cały ciężar pomocy materyalnej spada na poszczególne towarzystwa, których budżety zazwyczaj są nader ograniczone. Kwestya więc stypendyów stała się paląca. Uzyskano przedewszystkiem dopuszczenie przedstawicieli młodzieży do Rady styp. przy rozdawaniu stypendyów, związano kwestyę stypendyów z istnieniem innych instytucyj polskich za granicą, przeżytych już i nieodpowiadających potrzebom ogółu. Między innemi Towarzystwo studentów „Spójnia“ w Paryżu poruszyło myśl zniesienia istniejącej w Paryżu szkoły polskiej (na Botignolles) — o czem donosiły już nasze pisma — a przelania jej funduszów do kasy stypendyalnej. Zgodzić się musimy na to, iż szkoła owa obecnie żadnych korzyści nie przynosi. Postawiła ona za swój cel kształcenie dzieci wychodźców polskich za granicą i zapobieganie ich wynaradawianiu, a rezultaty otrzymuje wprost odwrotne. Innymi one być nie mogą z samej konieczności rzeczy, bo posyłając swych wychowańców do szkół francuskich, wynaradawianiu się ich zapobiedz nie potrafi. Szkoła wychowuje tedy Francuzów, którzy, jak nas pouczają sprawozdania, robią świetne karyery we Francyi.

Tymczasem koszty jednego wychowańca wynoszą półtora tysiąca fr. rocznie. Ogółem w ciągu ostatnich 23 lat wydano 1,300,000 fr. Ze składek zaś i darów wpłynęło od r. 1874 do 1898 — 253,000 fr. Kapitał obecny szkoły wynosi 833,000 fr.

Z danych powyższych widzimy, iż na wychowanie jednego obywatela francuskiego łożymy 1.500 fr.; liczba uczniów batignolskich zmniejsza się (w r. 1891 było ich 78, dzisiaj — 38); koszty utrzymania élève'a batignolskiego idą ciągle w górę *).

Zgodnie z myślą przewodnią założycieli i ofiarodawców, fundusze szkoły należą przedewszystkiem do młodzieży polskiej, kształcącej się za granicą; nic więc dziwnego, że młodzież kwestyę tę poruszyła, widząc z jednej strony marnowanie grosza publicznego, z drugiej — brak jego na potrzeby niezbędne.

Młodzież napływa za granicę głównie z Królestwa, Galicyi i Poznańskiego i różni się między sobą bardzo, stosownie do różnicy kulturalnej miejsc rodzinnych.

Królestwo z rozwiniętą produkcyą towarową, nieustępującą w niczem zachodnio-europejskiej, z wyższym stopniem zróżniczkowania społecznego, wreszcie z wyższą stosunkowo kulturą, wpływać musi inaczej na młodzież, niż inne strony.

Poznańskie — kraj nawskroś rolniczy, bez rozwiniętego przemysłu o kapitalistycznej produkcyi; zacofanie, klerykalno-szlacheckie przekonania warstwy oświeconej, jej bezustanne kokietowanie przedstawicieli kulturträgerów i hakaty — oto wpływy, pod którymi formują się zasady i pojęcia młodzieży poznańskiej.

Młodzież galicyjska wreszcie do ostatnich czasów podlegała przeważnie wpływom wszechwładnej kasty stańczyków; służalstwo, pojęcia ultramontańsko - szlacheckie, odzwierciadlały się wśród młodzieży np. w jej piknikach na cześć papieża z powodu jego jubileuszu, lub szumnych owacyach, wyprawionych b. premierowi austryackiemu, Badeniemu.

Naturalnie charakteryzując młodzież szerokimi rzutami, bierzemy ogół. O jednostkach mowy być nie może. Wszędzie dadzą się znaleźć nie jednostki, ale nawet pewne grupy — wogóle wszakże przyznać musimy, iż na brak koryerowiczów i filistrów narzekać nie możemy.

Te najróżnorodniejsze żywioły, znalazłszy się za granicą, wśród innych warunków znajdą zawsze odpowiednie do swego usposobienia i popędów środowiska i idą naprzód lub się cofają.

Młodzież skupiona liczniej w miastach uniwersyteckich, dla ułatwienia stosunków wzajemnej pomocy materyalnej i naukowej zakłada towarzystwa z wspólną czytelnią, biblioteką i lokalem na zebrania, odczyty itp. Po za tem poszczególne towarzystwa miejscowo grupują się w organizacye większe. I tu cel ten sam: zbieranie większych sum na stypendya, przesyłanie odczytów, książek, wspólne wydawnictwa, wreszcie porozumiewanie się w sprawach obchodzących całą młodzież. Obecnie mamy 4 organizacye większe. „Łączność“ belgijska i „Zgoda“ niemiecka obejmują wyłącznie Belgię lub Niemcy. Towarzystwa w Szwajcaryi, Francyi, niektóre w Belgii i Niemczech stanowiły do grudnia 1899 r. jedną organizacyę „Zjednoczenie ml. pol. za granicą.“ Dzisiaj Zjednoczenie rozpadło się na dwie grupy. Ze starego Zjed. wyłączyła się grupa towarzystw, stanowiąca obecnie „Związek postępowej ml. pol. za granicą.“

Z pośród tych organizacyj zasługują na szczególną uwagę „Zgoda“ niemiecka ze względu na zacofanie i stanowisko reakcyjne wobec wszelkich zagadnień życia społecznego. Po za specyalnem zgrupowaniem tutaj młodzieży kształcącej się bądź to w kierunku czysto praktycznym jak inżenierya, a więc nadającym się najwięcej do rozwinięcia popędów karyerowiczowskich, bądź też w kierunku ze swej

*) Nie podajemy tu studyujących sztuki piękne. Jest to żywioł zbyt koczowniczy, aby go można było uchwycić.

**) Obliczamy odsetki w stosunku do 1,352 a nie 1,575.

*) Podług danych ze sprawozdania szkoły, wydanego po raz pierwszy po 24 latach milczenia, okazuje się, iż średnio wydawano rocznie na jednego ucznia: od 1876—91 r. 800 fr., od 1891—96 — 1,438 fr., od 1896—97 — 1,271 fr., od 1897—98 — 1,549 fr.

istoty nadającym się najwięcej do pielęgnowania pozostałości średniowiecznych, jak teologia i agronomia — widać tu po za tem i wpływ junkra pruskiego i burszenszaftów niemieckich — rapira i kufla. Zresztą objawy te dają się spostrzegać wszędzie, gdzie tylko dotarła kultura pruska. Spotykamy je i w niemieckich prowincyach Austryi i w organizacyach studenckich w Rydze i Jurjewie.

To też odłam postępowy dawnego Zjednoczenia zwalczał już oddawna tego rodzaju objawy, stawiające pod pręgierz młodzież należącą do burszenszaftów i towarzystwa wzorujące się na tego rodzaju instytucyach. Fakt tego rodzaju zdarzył się i na ostatnim zjeździe. Towarzystwo studenckie w Leoben (Styrya) dowiodło, iż istnieją jeszcze, niestety, wśród młodzieży naszej objawy licujące być może z zapatrywaniami feodała średniowiecznego, lecz nigdy — z pojęciami zdrowemi, a nawet i co gorsza z elementarnemi zasadami etyki i koleżeństwa. Młodzież naprzykład należąca do Tow, większością głosów nie przyjmuje do swego grona studenta Żyda polskiego tylko dlatego, iż w Leoben wśród burszów istnieje budujący zwyczaj niedawania satysfakcyi Żydom w sprawach niby to honorowych; gdyby więc coś w tym rodzaju przytrafiło się owemu koledze-Żydowi i gdyby mu odmówiono satysfakcyi — Towarzystwo byłoby *zhańbione!* A jednak trzeba było stoczyć formalną walkę, trzeba było parogodzinnej dyskusyi, aby zmusić większość do potępienia tego rodzaju objawów zwyrodnienia.

Ścieranie się odłamu postępowego i reakcyjnego, walka z szowinizmem, dochodzącym często do obłędu, walka o zasady wogóle wypełniała niemal całe życie wewnętrzne dawnego Zjednoczenia.

Odłamy te ścierały się ostrzej na zjazdach i na ostatnim wreszcie nastąpił rozłam.

Z. Gąsiorowski.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Doktorzy honorowi.

Uniwersytet Jagielloński rozpoczął upamiętnianie 500-ej rocznicy swego istnienia obdarzeniem 70 osób tytułami doktorów honorowych. Z Warszawy otrzymali je: Ignacy Baranowski, Włodzimierz Brodowski, Ludwik Górski, Władysław Holewiński, Henryk Hoyer, Tadeusz książę Lubomirski, Henryk Sienkiewicz, Henryk Struve, biskup Henryk Kossowski. Z Petersburga: prof. M. Nencki, W. Spasowicz, Pypin i Kondakow. Z Moskwy: Czyczeryn i Sklifasowski. Uniwersytet jest instytucyą naukową, jego więc odznaczenia — jeżeli mają posiadać jakąś racyę i sens — powinny dotyczyć wyłącznie ludzi nauki i literatury, inaczej przypominają średniowiecznych opatów w pieluchach. Tymczasem w powyższej liście dostrzegamy „doktorów," którzy ani z nauką, ani z literaturą nie mają nic wspólnego, chociaż może napisali w ciągu swego życia parę artykułów lub referatów. I byłaby ta ich kanonizacya uniwersytecka całkiem niezrozumiałą, gdyby stańczycy krakowscy nie wydawali kart legitymacyjnych do Panteonu według uznania zasług, które mają wagę w ich cyrkule politycznym. Nie chcąc obdarzonym na tej zasadzie psuć rozkoszy otrzymanego zaszczytu, nie wskazujemy nazwisk; sądzimy jednak, że je czytelnik łatwo odnajdzie i zrozumie, jaka to „honoris causa" była źródłem ich doktoratu.

Głosy na puszczy.

Zmarły przed kilkunastu laty archeolog, Bolesław Podczaszyński, pozostawił bogaty i jedyny w swoim rodzaju zbiór (8,527) pieczęci polskich, świeckich i duchownych. Zbiór ten znalazł się w Petersburgu, gdzie wystawiony został na sprzedaż. Donosiliśmy już o jego losie, teraz przypomina o nim *Kuryer Warszawski*, wyrażając życzenie, ażeby on dostał się „w odpowiednie ręce." Jakież to są te „odpowiednie ręce"? Wiadomo nam, że robiono propozycyę kupna kilku tutejszym magnatom, posiadającym muzea i gromadzącym pamiątki swojskie. Pomimo że żądana cena nie była wysoką— ci, dla których nabycie konia za 15,000 rb., lub stracenie większej sumy na zabawę kwiatową w Nicy, jest drobnostką, a przynajmniej nie stanowi wielkiego wysiłku pieniężnego — odmówili. *Noblesse oblige*, ale tylko w tych wypadkach, które sama sobie wybiera i które zwykle nie pozostają w żadnym związku ani z dobrem ogółu, ani z uczuciami i celami społeczeństwa. I dlatego sądzimy, że nawoływanie do kupna pieczęci — o ile nad niemi nie ulitują się pp. Rotwand, Wawelberg, Lenval itp. — pozostanie głosem wołającego na puszczy. Natomiast wierzymy, że jeżeli o tym zbiorze dowiedzą się Anglicy, uznają go dostatecznie godnym dla Muzeum brytańskiego. My zaś potem spełnimy bohatersko nasz obowiązek: napiszemy szereg artykułów z wykrzyknikami, oskarżających Johna Bulla o łowienie pereł archeologicznych w naszej zatoce. Przypomnijmy sobie niedawną historyę „Bitwy Grunwaldzkiej" Matejki. A ileż to już było podobnych protestów!

Harmider.

Zaznaczyliśmy na tem miejscu niepochlebną cenzurę, jaką ostatni podróżnik do Brazylii wydał swym poprzednikom, a zwłaszcza prof. J. Siemiradzkiemu, zauważyliśmy przytem, że ten ostatni powinien podjąć rzuconą mu rękawicę. Jakoż podjął w *Czasie* krakowskim (czemuż nie w *Tygodniku Ilustr.*?) gdzie dowodzi, że twierdzenia p. Gruszeckiego są nieprawdą, że nie jest autorem broszury „Opis stanu Parana," że wyjeżdżał do Brazylii z polecenia wydziału krajowego, że natomiast p. Gr. działa jako bezwiedne narzędzie osób trzecich, mających osobisty interes w niedopuszczaniu działalności polskiego Towarzystwa kolonizacyjnego i prowadzących zażartą przeciw niemu kampanię w *Alldeutsche Blätter*. Czyli — jak p. Gr. oskarżał p. S. o wysługiwanie się spekulantom amerykańskim i rządowi brazylijskiemu, tak p. S. oskarża p. G. o wysługiwanie się Niemcom, którzy chcą zawładnąć Paraną i wyprzeć z niej emigracyę polską. Zaiste, ta walka „przekonań" przedstawia śliczny i bardzo znamienny obrazek gruntowności naszych badań i dbałości o biedny lud, który masami wylewa się do Brazylii. Nic ściśle nie wiemy, ale za to drzemy się rzetelnie za czuby, wyrzucając sobie wzajemnie przeniewierstwa i zdrożności. Wielkie to nasze szczęście, że żaden Wojtek, nad którym rozpościeramy opiekuńcze skrzydła i torujemy mu drogę ciężkiej wędrówki, nie czyta tych budujących polemik, bo zawołałby ze zgrozą: „Szlachetni panowie, gdzie wy macie sumienie, igrając sobie tak lekkomyślnie z naszą niedolą i używając jej za oręż do waszych gorszących walk osobistych? Narzucacie nam się ciągle na przewodników; tymczasem zamiast sumiennie zbadać warunki i stosunki naszego osadnictwa w Brazylii, odbywacie sobie wycieczki turystyczne, łapiecie w przelocie plotki i niesprawdzone wiadomości, szywacie je pospiesznym ściegiem i drzecie się o wartość swoich robót. Dzieci przestańcie się bawić, bo wam chodzi o igraszkę a nam o życie."

I co można byłoby odpowiedzieć na tę słuszną skargę, której nie odejmie podstawy ostatnia Odyssea p. Gruszeckiego? Bo — jak przekonywa głos zamieszczony w dzisiejszem numerze *Prawdy* — i ten autor budzi poważne wątpliwości, które prof. Siemiradzki w swym odwecie zaprawia posądzeniem swego przeciwnika o bezwiedne sprowadzanie wody na młyn niemiecki. Bądźmy zaś przekonani, że Niemcy poznają dokładnie Paranę i nie będą się przez lata całe kłócić o wiarogodność swych sprawozdań.

Pod adresem syndykatu papierowego.

Niedawno obleciała naszą prasę wiadomość, że fabrykanci papieru stworzyli nową pompę ssąco-tłoczącą, że na chwałę—kieszeni swoich zorganizowali się w syndykat. Rezultaty tej zaszczytnej pracy nie dały czekać na siebie: cena papieru podskoczyła o 10%. Jedyną skuteczną na taką strategię radę mógłby dać kontr-syndykat spożywców, wydawców, właścicieli dzienników. Nie wiem, czy zdobędziemy się na taką zgodność w działaniu wspólnem, ale nie zaszkodzi na wszelki wypadek zaznaczyć tutaj, jak radzą sobie w takiej „okazyi" Niemcy. Oto piszą z Berlina pod datą 5 maja, że Związek wydawców dzienników niemieckich (Verein deutscher Zeitungsverleger) przygotowuje się za przykładem Związku prasy katolickiej (Paulinusverein für die katholische Presse) w prowincyach nadreńskich — do walki z syndykatem papierni. Zamierza on w połowie maja otworzyć w Lipsku centralne biuro zakupu papieru drukarskiego, przyczem wielka ilość dzienników niemieckich zgodziła się już przystąpić do organizacyi, o ile tylko wieści o utworzeniu syndykatu fabrykantów ziścić by się miały. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w takim wypadku ostatni upaść musi, nigdy bowiem nie obejmie on wszystkich fabryk, a w takim nawet wypadku związek spożywców może w każdej chwili stworzyć własne fabryki. Będziemy w dalszym ciągu informowali czytelników naszych o przebiegu tej ze wszechmiar ciekawej walki, a może pobudzimy nasze instynkty organizatorskie do czynniejszej działalności.

Autorowi z ciemnego kąta.

W artykule swoim p. t. „Żebractwo inteligencyi," występując w obronie godności młodzieży naszej, zastosowałem do niej tę wysoką miarę, której potrzeby nie potrafi odczuć chyba tylko człowiek bardzo gruboskórny pod względem etycznym. P. Pieńkowski w *Głosie* nietylko jej nie odczuł, ale zarazem dowiódł, że niema takiego cynizmu, któryby się nie dał rozpuścić w atramencie i rozmazać na papierze. Takim cynizmem jest właśnie publiczne fałszerstwo moich myśli i założeń. Oto próbka: „Wszystkie sądy i oburzenia szanownego ekonomisty w jednym tylko wypadku mogą być logiczne, a mianowicie, o ile wynikają z założenia, że *nauka jest zbytkiem...*" A w innem miejscu: „Jeżeli w dodatku jako fałszywy procent lichwiarski rzuca się młodzieży w twarz bezpodstawne obelgi, jeżeli z podstępną przewrotnością wmawia się jej, że jest stekiem żebraków..." Wyjątki te chyba już dają dostateczne pojęcie, z kim mamy do czynienia. Wolno p. Pieńkowskiemu drwić z wszelkich zobowiązań kredytowych, wolno być zwolennikiem darowizn i jałmużny, ale nie wolno bezkarnie tych zasad osobistych narzucać naszej młodzieży — bo to jest największa dla niej obelga. Artykuł p. Pieńkowskiego śmiało mogliby podpisać ci wszyscy, dla których zabijanie godności i wyrabianie służalstwa w pewnych grupach ludzi jest środkiem bardzo dogodnym. Oni to właśnie „z podstępną przewrotnością" głoszą, że jałmużna jest tylko pomocą społeczną, że przyjmowanie okruchów ze stołu sytych nie

jest obelgą. Ażeby usunąć tę formę jałmużny i wielce upakarzające sposoby jej rozdawania, zaprojektowałem stworzenie instytucyi kredytowej dla młodzieży naszej. P. Pieńkowski, zakrywszy dłonią kilka ostatnich wierszy w moim artykule, pyta czytelnika, jak kuglarz niezręczny: Co to będzie za instytucya kredytowa? — i sam odpowiada na pytanie swoje: „Będzie to jałmużna pośrednia i zarazem szkoła operacyj kredytowych; żebractwo uporządkowane." Gdyby tak nie spieszył z odpowiedzią, to pierwszy lepszy czytelnik, obeznany choćby tylko elementarnie z naukami humanitarnemi i społecznemi, wyjaśniłby mu właściwe znaczenie instytucyi tego rodzaju, a wtedy p. Pieńkowski przyszedłby do przekonania, że łatwiej jest gwizdać przez palce z ciemnego kąta i pisać absurdy, niż sądzić o zjawiskach społecznych, których się nie rozumie i nie odczuwa.

Zenon Pietkiewicz.

[illegible] NAUKOWE.

HISTORYA.

Pamiętniki Bismarcka, zebrał Maurycy Busch. Warszawa. G. Sennewald, 1900, str. 196.

Zaraz po ustąpieniu księcia Bismarcka ze stanowiska pierwszego kanclerza Niemiec zjednoczonych (1891) zaczęły w jego ojczyźnie tłumnie się ukazywać prace, usiłujące działalność największego dyplomaty niemieckiego przedstawić w świetle słów jego własnych; w rok po jego zgonie życiorysowa ta literatura urosła do rozmiarów Mahabaraty nowożytnej. Zbiór urzędowych mów kanclerza zdołano zaledwie zmieścić w dwudziestu tomach wydanych podzisdzień p. t. *Fürst Bismarck als Redner* (Stutgart i Berlin, 1899, u Boehma i Dorego); drugie tyle wyniosły rozmowy, interwiewy i t. zw. *Tischreden* (stare i nowe), ogłoszone we Wrocławiu, Berlinie i Lipsku, głównie przez Poschingera i Penzlera od r. 1894 do 1899; wreszcie korespondencya prywatna Bismarcka — z żoną, siostrą, generałem Gerlachem itp., gromadzona przez Kahna, Wippermana, Horst-Kohla itp. literalnie zalała i zatopiła współczesną historyczno-polityczną bibliografię niemiecką.

Czas jakiś łudzono się nadzieją, że dla całej tej puszczy materyałów dziejopisarskich i życiorysowych, właściwe pamiętniki Bismarcka, wydane w r. 1898 w Stutgarcie w dwóch tomach p. t. *Gedanken und Erinnerungen* będą światłem oryentującem i zcalającem, nicią Aryadny w labiryncie sprzeczności bez liku, syntezą poglądów rozbitych i do najwyższego stopnia zgmatwanych, pokrzyżowanych, rozmyślnie w pewnych chwilach dziejowych podszytych obłudą, podstępem, fałszem. Omylono się całkowicie. Do wspomnień obalonego mocarza zakradły się przed samym jego zgonem rozmaite namiętności i urazy osobiste, które zamiast podnieść i ożywić gasnącą jego swadę, zabarwiły ją tylko czemś w rodzaju długiej, nudnej, jałowej obrony jego lojalności i „dobrej wiary" na punkcie stosunku ze sferami dworskiemi; sfery te, podrażnione, wtrąciły z kolei swoje veto do drobiazgów dla ogółu obojętnych, nadając przedśmiertnym elukubracyom dymisyonowanego dygnitarza cechy rozgłosu owocu zakazanego; w końcu cenzura synowska i familijna wetknęły także podobno trzy grosze swojej drażliwości. Słowem, „Myśli i przypomnienia" Bismarcka stały się jakąś potrawką reminiscencyj przestarzałych, źle odgrzanych, niedosolonych, przedymionych — do niczego.

Zręcznie i w porę skorzystał z tego dr. Maurycy Busch, dawny pacholik Bismarcka, powołany w r. 1870, podczas wojny francusko-niemieckiej, do „poufnych" przy kanclerzu posług, szczególnie prasowych, mających na widoku zasilanie dziennikarstwa swego i obcego rozmaitemi inspiracyami, niezbędnemi dla powodzenia dyplomatycznych sztuczek kancelaryi niemieckiej. Subjekt wydał się Bismarckowi należycie dogodnym: był dostatnio w naukach kameralnych biegłym, a umysłowo tępym i dyskretnym, przytem pojętnemi oczyma wiernego psa zdawał się spoglądać na najlżejsze skinienie swojego chlebodawcy. Dystyngowany kamerdyner zawsze wie, kiedy pan z łóżka wstaje i w jakim jest humorze, kto do niego ma przystęp, a kto po wyjściu wywołuje jego splunięcie w kątek; to też i Busch szybko posiadł wszelkie tego rodzaju „tajemnice stanu" Bismarcka, starannie notując jego gesta, słówka, półsłówka... garnitury myśli przeznaczono do przywdziania i „skarpetki zamiarów" oddane publicystyce niemieckiej do wyprania. Z takiego dzienniczka domowego, tu i owdzie podznaczonego kropkami zamilczenia, powstało w r. 1878 dzieło, wydane z wiedzą i upoważnienia Bismarcka p. t. *Graf von Bismarck und seine Leute*. Obejmowało ono przyboczne i przedpokojowe sprawy kanclerza podczas wojny 1870—71; takież wypadki okresu późniejszego spisał Busch w książce p. t. „Unser Reichskanzler." Jedno i drugie dostąpiło zaszczytu tłomaczeń na kilka języków — ale żaden poważny człowiek nie mógł się na seryo liczyć z tą lokajską biografią Bismarcka; tylko gawiedź czytelniczą wielce zaciekawiały kropki...

Busch był cierpliwym. Doczekał się chwili, kiedy po uwolnieniu wszechmocnego piastuna polityki niemieckiej, zrobił się hoczek dokoła jego pamiętników szumnie zapowiedzianych. Zrodziły się obawy, azali kupy aferowiczów i fałszerzy, na których czele tak długo stał książę Bismarck, pozwolą na ogłoszenie starczych rewelacyj rozwścieczonego ex-kanclerza — rewelacyj, mogących skompromitować państwo i ojczyznę niemiecką. Podejrzenia zyskały niejaką podstawę w pogłoskach o interwencyi w tę sprawę cesarza Fryderyka Wilhelma... Wówczas to (1998) Busch puścił w Londynie streszczenie dwu swoich prac powyżej wymienionych, z których zawczasu usunął niektóre kropki... Dzieło wyszło p. t.: *Bismarck, some secrete pages of history...* i natychmiast, w tymże jeszcze r. 1898, przetłomaczone zostało w Paryżu na język francuski pod samozwańczą nazwą: *Memoires de Bismarck...* Rzucono się na to — naturalnie — jak w r. 1848 rzucano się w Wiedniu na gazety zagraniczne, z których Metternich nie zdążył wymazać w porę wieści nadbiegających z nad Sekwany — tych wieści, które niebawem jego samego miały przepędzić przez rózgi światoburcze. „Niepodobna — mówiono sobie — aby Busch, sekretarzując lat tyle przy Bismarcku, nie ściągnął mu z pod ręki jakiegoś świstka, mogącego rzucić prawdziwe światło na zdarzenia i działaczy." Istotnie, Busch to i owo ściągnął — przedewszystkiem zaś to, co sam Bismarck z góry do ściągnięcia przeznaczył... Naocznie o tem przekonać się możemy z książki dziś dopiero wydanej w Warszawie przez księgarnię G. Sennewalda p. t. „Pamiętniki Bismarcka, zebrał Maurycy Busch," książki, która jest nędznym tylko aglomeratem zretuszowanych wycinków z pomienionego dzieła *Graf von Bismarck und seine Leute* (1878). Dla ułatwienia porównania przytaczamy rosyjski przekład pierwowzoru Buscha, wydany w Moskwie w r. 1879 przez M. T. Gołowina p. t. „Graf Bismark i jeho ludi za wremia wojny z Franciej, po listkam dniewnika sostawił D. Moric Busz" (tomów dwa str. 341 i 348).

O nikłości poprawek i zretuszowania da niejakie pojęcie następujące zestawienie:

„Pamiętniki" po polsku o lat 20 niby to świeższe — rozdział II, str. 17, odjazd na wojnę: „W dniu 31 lipca 1870 r. o godzinie 5 i pół *zrana*, Bismarck opuścił w towarzystwie żony i córki hr. Maryi, swoją rezydencyę na Wilhelmstrasse, aby się udać koleją żelazną do Moguncyi i połączyć z królem na polu walki. Towarzyszyli mu: czterej radcy ministeryum spraw zagranicznych, sekretarz biura centralnego, dwaj urzędnicy przeznaczeni do odcyfrowywania depesz i kilku attaché wojskowych. *Musiałem pozostać, bo nie było dla mnie miejsca.* W d. 7 sierpnia, gdy jeszcze leżałem w łóżku, posłaniec z ministeryum przyniósł mi depeszę przybyłą poprzedniego dnia. Zawierała co następuje: „Moguncya 6 sierpnia, g. 7 m. 35 wieczorem. *Powiedzieć Buschowi, aby tu przyjechał i przywiózł ze sobą dwóch korespondentów: jednego dla Volkszeitung, drugiego dla Kreuzzeitung. Bismarck.*" Pozostawiono mi wybór tych korespondentów. Tego samego dnia o godzinie 8 wieczorem wraz z nimi opuściłem Berlin. Z początku podróżowaliśmy w I klasie, potem w II, wreszcie w III i nakoniec w wagonach towarowych..."

Zobaczmy, jak to samo brzmi w *Graf von Bismarck* z r. 1878, str. 3 i 4 przekładu rosyjskiego: „W d. 31 lipca o godz. 5 i pół *wieczorem* kanclerz, *przyjąwszy na kilka dni przedtem komunię św. we własnym domu na Wilhelmstrasse*, opuścił swoją rezydencyę, aby się udać koleją żelazną do Moguncyi i połączyć się z królem na polu walki. Towarzyszyli mu *niektórzy* radcowie ministeryum spraw zagranicznych, sekretarz - *ekspedytor* biura centralnego, dwaj urzędnicy przeznaczeni do odcyfrowywania depesz i *dwóch czy trzech ze służby* kancelaryjnej. *My zaś, pozostający w Berlinie, składaliśmy tylko odjeżdżającemu kanclerzowi życzenia pomyślnej podróży, stojąc w sieni, pomiędzy dwoma sfinksami, wznoszącymi się po obu stronach schodów — gdy on, z kaskiem na głowie, wychodził ku swojej karecie... W dniu 6 sierpnia w ministeryum otrzymano depeszę o zwycięztwie pod Wörth... Zaniosłem niebawem miłą tę wiadomość przyjaciołom — i nastąpiła długa, hałaśliwa uczta...* Nazajutrz, 7 sierpnia, gdy jeszcze leżałem w łóżku, posłaniec przyniósł *odpis* depeszy, w której mi rozkazywano niezwłocznie udać się do kwatery głównej..." Następują kropki zamiast podanego obecnie tekstu depeszy Bismarcka; zamilczano też i o tem, że wybór korespondentów do *Volkszeitung* i *Kreutzzeitung* zostawiony był Buschowi. Poczem wraz, jak wyżej: „Z początku podróżowaliśmy w klasie I, potem w II, nareszcie w III i nakoniec w wagonach towarowych..." — i tak dalej do samego końca.

Tu i tam, w zapiskach ogłoszonych w r. 1878 i w rzekomych pamiętnikach z roku 1898, rozdziały, przedmioty, rzeczy, rozmowy, następują po sobie w porządku niezmąconym identycznym — a przekreślenia lub dodatki nie mają w sobie żadnego widomego ładu i celu. W ogólności zaznaczyć należy, że przekład polski mniemanych „Pamiętników" z r. 1898 jest w stosunku do rosyjskiego przekładu dzieła Buscha z r. 1878 o połowę krótszym i nie zawiera żadnych prawie wzmianek dotyczących Rosyi i Polaków. Interesujące dowcipy lub uwagi Bismarcka, zamieszczone w wydaniu Gołowina, jak np. o Beuscie i jego konszachtach z czerwonymi republikanami i powstańcami polskimi (I, 132), o zamiarach Rosyi uwolnienia się od skutków wojny krymskiej i traktatu paryskiego (309, 313), o charakterze polityki dworu petersburskiego (II, 11), o książkach do nabożeństwa dla chłopów polskich w

wojsku pruskiem (62), o widokach Rosyi na cieśniny bosforskie (113), o bitwie pod Grunwaldem (139), o Prusach jako gubernii rosyjskiej (259), o żeńskiej bierności charakteru Słowian (286), o mowie Klaczki w parlamencie wiedeńskim z d. 30 stycznia 1871 r. (317), o lasach w Polsce i kupnie wśród nich majątku na stare lata (344) — i tym podobne szczegóły nie zostały uwzględnione w wydaniu Sennewalda. Reszta pseudo-pamiętnika, odnosząca się ściśle do wypadków wojny 1870—71, jakkolwiek również obcięta, pokrajana, koszałkami-opałkami przepełniona i bez porównania uboższa od oryginału edycyi Buscha z r. 1878, nie jest nowością nawet wśród powszechnego ubóstwa naszej literatury polityczno-historycznej XIX stulecia.

Ah.

NOTATKI NAUKOWE.

— El. Orzeszkowa: *List do kobiet niemieckich* i *O Polce Francuzom* *). Warszawa, 1900, str. 91, cena kop. 30, nakład Bronisława Natansona.

Niewielka, pięknie wydana broszura, mieści dwa dawniej już wydrukowane szkice autorki. „List otwarty do kobiet niemieckich w kwestyi równouprawnienia kobiet wobec nauki, pracy i dostojności ludzkiej"— powstał w dziękczynnej odpowiedzi na adresy kilku stowarzyszeń niemieckich, nadesłane z okazyi 25-letniego jubileuszu pracy literackiej. Wydrukowany niezwłocznie po niemiecku, ukazał się przed kilku laty w przekładzie w *Sterze* i *Bluszczu*. — Drugi artykuł „O Polce Francuzom," został napisany na żądanie wydawcy *Revue des Revues* i ukazał się 1897 r. w języku francuskim, po rosyjsku (w miesięczniku *Russkaja mysl*) i po polsku (w *Sterze*). Przypuszczając tedy, że oba te w każdym razie cenne i naszą literaturę feministyczną zdobiące szkice są naszym czytelnikom znane, poprzestaniemy na tej wzmiance bibliograficznej. Natomiast przytoczymy ciekawy ustęp z przedmowy (str. 4 i nast.). Redakcya kwartalnika *Revue de morale sociale* nadesłała autorce zapytanie, jaką „misyę moralną przypisuje ona ruchowi feministycznemu w ewolucyi społeczeństwa społecznego?" „Odpowiedziałam w sposób następujący: Rozum jest lampą, która oświetla świątynię życia, wówczas dobroczynną, gdy w świątyni są ołtarze. W braku lampy ludzie mogą brać bałwany za bóstwa i bóstwa za bałwany, ślizgać się i upadać w ciemności. W braku ołtarzy, przy blasku lampy, wszyscy mogą spacerować wygodnie, lecz nikt się nie modli. Wiele ołtarzy, przed którymi modliła się niegdyś Ludzkość, runęło i w duszach pozostała stąd pustka, nad którą królują nuda, gorycz i występek. W ręku kobiet lampa rozumu świeciła długo blaskiem przyćmionym, bo jej płomienia nie podsycała wiedza. Teraz kobiety, coraz częściej zapalając ją u ognisk wiedzy, mogą coraz skuteczniej dopomagać drugiej połowie rodu swego we wznoszeniu ołtarzy, czyli w obudzaniu uczuć i dążności, bez których świątynia życia staje się miejscem pustych albo występnych spacerów. Żadnego separatyzmu z drugą połową Rodu Ludzkiego, żadnego wynoszenia się nad nią, żadnej zaciętości w urazie za doznane krzywdy! Jak najmniejsze wyzyskiwanie światła lampy dla odkrywania nowych zdrojów, rozkoszami upajających zwierzę ludzkie! Jak najpilniejsze poszukiwanie z jej pomocą źródeł, które krzepią i ogrzewają dusze! Jeżeli kobiety do ognisk wiedzy dopuszczane, tego zadania pełnić nie zechcą, niechaj o pierwszy kamień spotkany lampę swą rozbiją! Nie jest ona światu potrzebną, gdyż i bez niej świat ma aż nadto tej, która przyświeca robotom błahym, brudnym, samolubnym i okrutnym."

—*sp.*

*) Niezrozumiałem jest, dlaczego wydawca nie powiązał na okładce obu szkiców w jeden ogólniejszy tytuł.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

IV.

Jerzy Żuławski: *Poezye*, II. Warszawa, 1900.

W przeciągu lat pięciu czy sześciu p. J. Żuławski występuje już oto z czwartym zbiorkiem poetyckim. A tomiki spore. Podobnie obfita twórczość okupiona bywa często brakami natury wewnętrznej, zarówno jak i zewnętrznej: rozcieńczeniem jej na pomysły łatwe a ujęte w formę niemniej łatwą i rozwlekłą. I p. Żuławskiemu niepodobna oszczędzić całkiem tego zarzutu. Wśród utworów jego znajdziemy sporo takich, które nie odznaczają się zgoła świeżością treści i artyzmem formy, a wyszły w świat z rażącemi skazami. Sprawiła to zbytnia skwapliwość poety w zbieraniu wszelkich „okruchów" swego ducha, i pośpiech, z jakim to czyni. Tak było dawniej. W ostatnim zbiorku, jakkolwiek spotykamy jeszcze takie rymy, jak „do met — komet," dbałość poety o wytworność szaty wierszowej (przypominamy tu oryginalną przeróbkę ronda na „kaskadę"), wydała swój owoc. Inaczej zresztą być nie mogło wobec zasobnego słownika poety i łatwości, z którą włada dykcyą. Jednak p. Żuł. wzbudza zajęcie nie zewnętrzną stroną swych natchnień. Już w najdawniejszym zbiorku („Na strunach duszy") w powodzi niepotrzebnych opisów, niegłębokich nastrojów, powierzchownych refleksyj, wywołanych, dajmy na to, trzęsieniem ziemi w Zurychu w takim a takim roku, o takiej a takiej godzinie, wśród kurhanów, sypanych „moim pięknym kuzynkom" — nie zatonęła przecież szczerość młodzieńczego uczucia, nie zginęła myśl badawcza, z bólem wpatrująca się w zagadki istnienia. Był tam jeszcze jeden rys, który więcej może, niż te, wzbudzał sympatyę dla poety. Zamkniętym w ciężkim deptaku szarzyzny codziennej, zmuszonym do kroczenia wciąż po tej samej ubitej ścieżce, do powtarzania tych samych ruchów i wydawania z siebie jednostajnych, do tych ruchów zastosowywanych myśli, skazanym na opieranie swych oczu o nigdy nierozstępujące się ściany i karmienie wyobraźni pianą, okrywającą płytki nurt chwili bieżącej — jakże błogo oddać się przewodnictwu poety, który wyprowadzi nas z naszego świata, a pokaże nam inne, jasne i słoneczne; błogo pójść na kwietne błonie z Tetmajerem, wraz z Kasprowiczem wziąć w pierś swą mocny dech prabytowy. Żuławski nie był tak szczęśliwym dotychczas, by nam takie widzenia ukazywać; lecz czuliśmy w nim duszę, która wyrywała się gdzieś w przestwory z młodzieńczą wiarą, z młodzieńczą siłą i upojeniem. I zdawało się nam, że wraz z nim pędzimy na rozhukanym biegunie, prześcigając wicher, i tylko w oczach migają parowy, drzewa, wąwozy. „W tym biegu szalonym— szalenie mknie życie, krew raźniej się rusza, szybsze serca bicie, i myśli do głowy wciąż cisną się tłumem." Takim akordem wkradła się nam do serca pieśń „na strunach duszy" wyśpiewana.

Lecz gdzież to jesteśmy? dokąd uniósł nas rumak? „W górzystem, bezludnem jesteśmy ustroniu," na tych chłodnych wyżynach, gdzie rzeczywistość się odrzeczywistnia, gdzie iścizna życia staje się punktem, skupiającym w sobie całą potęgę wszechstworzenia, lecz w rozmaitość kształtów nie rozsnutym. „Do mnie, słowa! Pójdź, dźwięczna tyskrzydlata rzeszo, zwiń się wieńcem *nad myślą, posłuszna jej tchnieniu, skąp się w niej*, jak gołębie kąpią się w promieniu." Dziś, owiany tchem szkoły krakowskiej i jej nauką o bezwzględnych głębinach, samoistnie wydających z siebie tajemniczo twory, dziś poeta, być może, w tak stanowczy sposób nie nakazałby skrzydlatej rzeszy swych słów kąpać się *w myśli* i być *posłuszną* jej tchnieniom. A przecież, póki sobą pozostanie, inaczej nie będzie. Zresztą, czy to nie wszystko jedno, jak nazwiemy źródło, z którego rodzi się niezgaszone pragnienie poznania drogi, zakreślanej przez zjawiska świata i przez zjawiska ducha ludzkiego wokoło niewidzialnego słońca? Bądź co bądź teraz, jak dawniej, myśl poety zawisa nad otchłanią, „gdzie wszechrzeczy chaosu wieczna moc się kłębi," skrzydeł zaś radaby pożyczyć powszechnym dziś zwyczajem w erotycznych filozofiach Wschodu. W dążeniu tem poeta nie ogranicza się, o ile sądzić mogę, do niewolniczego odtworzenia obcego motywu. Przykładu dostarczy nam umieszczony na wstępie (pomijam mętny i słaby wiersz *Introibo*) wyjątek z „Jadżur Wedy." „Na początku nie było bytu, ni niebytu... Nie było śmierci, życia, czasu, ni wieczności, ni przypadku, ni musu, szczęścia ni cierpienia.. On był tylko i przyszłe światy trzymał w duchu.. był był marą, niebytem świat, a wieczność chwilką. On był wszystkiem: przestrzenią i czasem i niczem: nie krom Niego nie było — On był jeden tylko." Dotąd to tylko parafraza, a parafraza śliczna znanego hymnu Rigwedy, uważanego za jeden z najwcześniejszych objawów kosmogonii i filozofii indyjskiej. Idźmy dalej. „A gdy spojrzał w krąg siebie i nic nie obaczył, ni przedmiotów dla myśli, ani żadnych tam—zląkł się pustki i strach Go w ciemnościach obsaczył. Przeto człowiek się także lęka, gdy jest sam." Czy i to jest w Rigwedzie, a choćby w Jadżurwedzie? Oczywiście pytania tego nie kładę w kształcie zarzutu. Więc gdy tak był przelękniony, a później smutny, powstało *Życzenie* (znowu z hymnu) w głębi Jego serca, by świat stworzyć i tęczą wysnuć go z siebie. Przeto człowiek też wtedy tworzy, gdy mu smutno..." Taki paralelizm i takie wiązanie jest własnością poety. Śliczny to i oryginalny pomysł, a w wykonaniu jego czuć jakąś skupioną w sobie siłę, która w *Dies iræ* wybucha wspaniałymi akordami. Spojrzymy jednak, jak to powstają światy, tęczą wysnute z głębin ducha. W jednym z dawniej napisanych ustępów poeta mówi: „Syt jestem piękności świata bożego i chcę być sam." Rozwija skrzydła i unosi się w przestrzeni niezmierzonej aż tam, skąd droga mleczna lśni już jak biała nić, aż tam, „gdzie Bóg jeszcze nie począł dzieła stworzenia." I oto ciemności rozbłysły jasnością i „wyznaczyłem miejsce każdemu blaskowi, każdej barwie i woni i pieśni każdej." Lecz twórca nie dokończył dzieła, nie powstał w tym świecie człowiek. „Z czegóż dam mu ciało i na czem oprę jego nogi?" I oto „świat dźwięku pełny i tęczowy przed chwilą zgasł, jak lampa oliwna. I uczułem, że spadam tam, skąd wyszedłem." W takiem spadaniu poeta nie jest odosobnionym, już nie jest „sam." Współcześni poeci nasi, których twórczość w kierunku filozoficznym się rozwija, nieraz znajdują zamiast myśli prawdziwie oryginalnej i głębokiej tylko wyrazowe uogólnienie, które twarzy nam bladością nie okryje: pewni jesteśmy, że poeta nie naraża nas na los młodzieńca z Sais. I p. Żuławski w napowietrznych wędrówkach swych nie zawsze znajduje punkt oparcia. Za przykład posłużyć może „Genezis," w której upadły Lucyfer (światło), z potęgi twórczej zrodzony, tej potędze się przeciwstawia. Zapewne, siła-skutek może stanąć w sprzeczności z siłą-rodzicielką, lecz dlaczego tu właśnie miało się to stać?

I jeżeli Lucyfer „z łona bożego wykwita, jako odwiecznej wynik konieczności“ — jakże mógł nastąpić rozdział między tonami, które tylko w połączeniu harmonią rozbrzmiewają, które nieodzownie dopełniać się wzajemnie muszą? Prawda, Jehowa po zwycięztwie, zapełniając karty księgi przeznaczeń, wyroki jej ujął „w słowa dwa straszne a bratnie: Niewola pierwsze, a nicość ostatnie.“ Lecz okoliczność ta nie udziela nam dostatecznego światła. Co innego w „Kainie“ Byrona. Rewolucyjny duch tego poety w każdym ruchu swym, niezależnie od woli i świadomości, był uosobieniem wiecznie czujnego i wiecznie czynnego rokoszu przeciw panoszącej się na wszelkich polach reakcyi. I dlatego dwa duchy nieśmiertelne w „Kainie,“ to dwie potęgi, wrogie sobie i niezależne. W „Genezis“ zaś jest coś mętnego i niedokończonego, jakby myśl poety nie wydobyła się jeszcze z chaosu, jakby jej pierwiastki były jeszcze zbyt ciężkie, w stosunku do lekkich fal, na których unosić się mają.

Inaczej jest w najobszerniejszym w zbiorku utworze, którym jest „Lotos,“ ślicznemi tercynami pisany. Oczywiście, występować tu będzie „książę Benarskiej dzierżawy,“ lotos wychylać się powinien z wód Gangesu, a tłem będzie wiara w przemianę kształtów i w przesiedlanie się dusz. Jak w poszczególnych obrazach i stylu niekiedy znać Przybyszewskiego, tak znowu w ogólnym kolorycie jest coś pokrewnego z kolorytem Słowackiego i Konopnickiej („Imagina“). „Lotos,“ to śliczna, delikatna tkanka, srebrząca się od blasku miesięcznego przejrzysta i leciuchna mgła, kołysząca duszę do czarodziejskiego snu. Z pieśni, z tęsknicy nieugaszonej, z boleśnie napiętej woli, podnosi się ona, z „tajemniczego kwiatu świętych strumieni“ wykwita tego kwiatu dusza, dusza Lotosu, *dusza życia*... To jest kochanka poety; a kiedy pożądaniem party, dąży do świetlistego widziadła po szlaku, usłanym w powietrzu promieniami księżyca, kiedy już ją chwyta w objęcia, i usta gorączką spieczono do jej ust chyli — w tym samym mgnieniu gwiazdy rozprysły się z trzaskiem jak race, jakiś okrzyk rozległ się w przestworzu... a śpiewak obudził się dopiero „po nad brzegiem rzeki, na barfy niemej połamanym trupie, wśród południowej dnia dusznego spieki.“ I nigdy nawiązane struny nie miały już mocy nanowo otoczyć pieśniarza prześnionym czarem, bo ludzkiej „duszy treścią wieczne pragnienie; pragnienia wynikiem życie, a życie jedną jest boleścią... dopóki płomykiem pragnień się pali, póty Maja (złuda) zdradna w sidła ją swoje osnuwa i mota.“ Znaleźć i stworzyć „duszę życia“ jest nieodwołalną koniecznością naszego bytu wewnętrznego, lecz jakże dotknąć materyalnym uściskiem tę, która jest tylko ucieleśnieniem tęsknoty, widmową wysłanką świata niematerjalnego? Przypomina się tu nam pokrewieństwem motywu związany, prześliczny wiersz Asnyka „Myślałem, że to sen, lecz to prawda była: z nadziemskich jasnych sfer do mnie tu zstąpiła...“

Śpiewak, błądzący nad falami Gangesu, nie widzi nikogo wokół siebie, nie jest przecież samotnym: wcieleni w niego my tam obecni jesteśmy. Pamiętamy zresztą z hymnu „Jadżurwedy,“ że „człowiek jest smutny, gdy jest sam“; pamiętamy, że poeta wznioślszy się nad słońc miryady i stworzywszy słońca własne, ujrzał, że mu gasną, skoro poczuł, iż w państwie jego nie masz miejsca dla człowieka. Psyche rodzi się w chwili, gdy dziki barbarzyńca, krwią splamiony, poznaje pierwsze uczucia ludzkie, pierwsze drgnienia litości. Przestworza poezyi J. Żuławskiego są rozległe, a duch poety szybuje po nich dwojgiem skrzydeł. Jedno — to konieczność dążenia w zaświaty; drugie... mówiliśmy właśnie o niem. Niepodobna przewidzieć, jakiej miary i jakiej trwałości owoce wyda jeszcze twórcza praca poety; dotychczasowe jej jednak plony zapewniają mu poczesne miejsce wśród nieprzejrzanej ciżby poetów naszych, której ostatnie szeregi kryją się w mroku i nigdy się z niego nie wynurzą; na jego zaś głowę padły pierwsze promienie niezachodzącego nigdy słońca poezyi.

A. Drogoszewski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POEZYE. Słowacki Juliusz: „Pisma,“ z przedmową P. Chmielowskiego, tomów 4, w ozd. opr. 1 rb. 60 kop., bez opr. 1 rb. Gebethner i Wolff.

— Słowacki Juliusz: „Poezye,“ z portretem autora, t. 4. Mikołów. Nakł. Karola Miarki.

— Przerwa-Tetmajer Kazimierz: „Poezye.“ Serya IV. Gebethner i Wolff.

— Emde: „Symfonia: Do niej.“ Warszawa.

— John Ruskin: „Sceny z podróży,“ „Widoki natury.“ (Wybór pism). Przekład Maryi Chwalibóg. str. 127. Wyd. Okręta.

POWIEŚCI. Orkan Władysław: „Nad Urwiskiem.“ Szkice i obrazki, str. 216. Lwów, nakł. Tow. wydawniczego.

— Przerwa-Tetmajer Kazimierz: „Otchłań,“ fantazya psychologiczna, str. 183. Gebethner i Wolff.

ŻYCIORYSY. Cezary Jellenta: „Dante Alighieri,“ str. 145. B. Natanson.

HISTORYA. T. Ch.: „O dostojnym rodzie Piasta,“ str. 42. Lublin.

— PSYCHOLOGIA. Le Bon Gustaw: „Psychologia tłumu,“ przekład Zyg. Poznańskiego (Wyd. „Wiedza i życie.“ Rok I, tom 10 i 11), str. 233, cena 1 rb.

DRAMATY. Donchin Maks: „Mojżesz.“ Dramat historycz. w 5 aktach, str. 80. Łódź.

LITERATURA. Jabłonowski Wład.: „Dusza poety.“ Rzecz o Jul. Słowackim, str. 48. Sonnewald.

PRZEWODNIKI. „Ilustrowany przewodnik po Paryżu i wystawie powszechnej 1900 r.“, str 269. Nakł. T. Paprockiego.

SPRAWY EKONOMICZNE

RURAL EXODUS.

IV.

Ex Occidente lux! A więc w drogę! Pójdźmy i uczmy się. Najbliżej do Niemców i od nich wędrówkę zacznijmy. Życie tam bogatsze, włościanin bardziej oświecony, rozwinięty, skala jego potrzeb kulturalnych obszerniejsza i bogatsza. Nie całe tedy jego życie może być dla nas miarodajnem; tylko niektóre, bardziej podstawowe, elementarne, powszechne tego życia strony i formy.

Jedną z tych kwestyj jest sprawa mieszkaniowa. Wiadomo już dziś ogólnie, jak ważne stanowisko zajęła ta ciekawa, złożona, bolesna kwestya w splocie innych zagadnień społecznych. O ile się nią jednak u nas i gdzieindziej zajmowano, miano na względzie głównie i przeważnie robotników miejskich. Tylko przygodnie i bez rezultatów dodatnich poruszano kwestyę mieszkań dla służby i najemników wiejskich. Wyznać trzeba, że istotnie sprawa ta na wsi nie posiada tak palącego w znaczeniu hygieniczno-społecznem znaczenia. Na wsi warunki fizyczne są tego rodzaju, że co człowiek w zakresie hygieny wskutek niewiedzy i bezrozumu „popsuje,“ to natura „poprawi.“ Człowiek spędzający na świeżem powietrzu większą część roku, wystawiony na ożywcze działanie czynników uzdrawiających, nie odczuwa w tak wysokim stopniu, jak robotnik miejski, fatalnych a niebezpiecznych warunków swego „ogniska domowego.“

Jeżeli jednak środowisko, w którem rodzi się kwestya, nie liczy tylu ujemnych czynników, co jej imiennica w mieście, to nie znaczy, aby jej nie było. Kto tylko stykał się ze wsią, z gospodarstwem wiejskiem, a w szczególności folwarcznem, wie i odczuwa pewnie, jak złemi są w większości wypadków mieszkania dla najemników i parobków wiejskich.

Właściciel lubi, a niekiedy istotnie może pochwalić się budową śpichrza, stajni, albo kurników nawet, ale już chyba do wyjątków *(exclusivissime!)* należą ci, którzyby się pochwalili budową t. zw. „czworaków“ i „ośmioraków,“ według wszelkich zasad i nakazów nauki dokonaną. W Niemczech od dość dawnego czasu zwrócono uwagę na grzechy w tej dziedzinie. Od przygodnych wzmianek, od pytajników, albo wykrzykników do uczciwej jednak roboty — daleko. Niezorganizowana masa robotników wiejskich nie upominała się o swoje prawa, nie skarżyła się w parlamentach na swoje domostwa, nie zajmowała się tedy nią nauka. Prof. Sombart zwrócił uwagę na jednem posiedzeniu Towarzystwa polityki społecznej, że, o ile dokonano cennych, drobiazgowych, a niekiedy wprost znakomitych badań nad mieszkaniami w mieście (że wymienimy tylko badania Karola Buchera nad stosunkami bazylejskimi), o tyle w dziedzinie mieszkań wiejskich panuje ciemność. Tymczasem kwestya ta ze wszech miar zasługuje na bliższą znajomość. Klasa robotników wiejskich (w Niemczech) jest nader liczną. Z pośród 1,092,158 dzieci, urodzonych w Prusiech w roku 1890, 221,598 należało do służby najemników i robotników wiejskich (więcej niż 20%). „Emigracya wiejska tu ma najgłówniejsze swe źródło; odżywia ona szeregi roboczej armii i koszary wojskowe, państwo ma też obowiązek oddziaływania na warunki mieszkaniowe na wsi.“ Stowarzyszenie lekarzy, pozostających na służbie rządowej (u nas lekarze powiatowi, gubernialni itd.), wzięło sprawę w swoje ręce. Czasopismo wydawane przez nich *(Zeitschrift fur Medizinalbeamten)*, ułożyło kwestyonaryusz i rozesłało go lekarzom, należącym do stowarzyszenia. Zwykłą koleją rzeczy, zdarzającą się nietylko u nas, ale i u pracowitych sąsiadów naszych, w terminie właściwym zwrócono zaledwie 30 egzemplarzy wypełnionego, po części wadliwie, kwestyonaryusza. Dopiero specyalne starania i podróż inspekcyjna doktora Aschera, któremu poruczono opracowanie ankiety, zdziałały, że można było przystąpić do opisu mniej więcej pełnego wszystkich typów mieszkań dla robotników wiejskich. Z zebranych materyałów powstała książka, niedawno wydana w Berlinie *).

Ankieta pruska poświęciła nader mało miejsca mieszkaniom dla bezżennej służby folwarcznej. I nader zrozumiale, bo ta właściwych mieszkań nie posiada wcale. W obwodzie regencyi Wrocławskiej np., tam, gdzie istnieją t. zw. izby czeladnie, schodzi się do nich służba na posiłek i spędza chwile wolne od pracy. Parobcy (nieżonaci) śpią w stajni, dziewczęta w oborze albo w komorach, przeznaczonych na przechowanie karmu dla bydła, znajdujących się w pobliżu obory. Sama izba czeladnia jest zazwyczaj duża, posiada piec kaflowy, wystarczające oświetlenie; jest utrzymywana bardzo nieczysto.

Drugi typ robotnika wiejskiego — to najemnik, służący za całorocznym kontraktem. Obowiązany jest pracować dla

*) Ascher: *Die ländlichen Arbeiterwohnungen in Preussen*, 1897. W literaturze niemieckiej istnieje też cenne wydawnictwo minist. rolnictwa, poświęcone architekturze domów dla robotników wiejskich. Malachowski: *Anlage und Einrichtung ländlicher Arbeiterwohnungen*. Berlin, 1894.

właściciela z rodziną swoją i parobkiem (chłopcem), donajmowanym na własny rachunek (posyłka nasza), za co otrzymuje z góry unormowane, w różnych porach roku różne, wynagrodzenie pieniężne, zazwyczaj nader małe, pożywienie w naturze (ordynarya) dla wyżywienia całej rodziny i mieszkanie darmo. Na zachodzie (w prowincyach nadreńskich) za mieszkanie trzeba płacić, tylko że ceny najmu są nader nieznaczne, właściciel bowiem w ten sposób zapewnia sobie stałego robotnika.

Trzeci typ wreszcie, to zupełnie wolny najemnik wiejski. Ten pracuje za gotówkę, bez umowy na czas dłuższy; niekiedy część wynagrodzenia pobiera w ziemi pod kartofle. Prowadzi życie najczęściej koczownicze. Na miesiące letnie wędruje w okolice, gdzie są wyższe zarobki: do sadzenia buraków, do cegielni, jako kosiarz. Mieszka „na komornem,“ choć dąży zawsze do posiadania własnego domu tak samo, jak celem jego zabiegów jest dzierżawa, a wreszcie i posiadanie własnego zagona. Ceny takich mieszkań są zmienne. W regencyi Wrocławskiej wynoszą 2—4 marek miesięcznie za jedną izbę. Zazwyczaj domek takiego robotnika składa się z głównej izby, gdzie przeważnie mieszka, obok znajduje się komora, gdzie rodzina sypia, po drugiej stronie sieni chlewy dla świń i krowy i druga komora, z przeznaczeniem na t. zw. „zachowanie“ (śpichrz, lamus). Jeżeli rodzina jest duża, to zajmuje i izdebkę na poddaszu, gdzie sypiają zwykle dziewczęta dorosłe.

Bardzo charakterystyczny opis mieszkania robotnika wiejskiego podał sprawozdawca z powiatu Celle (okręg Lüneburski). Przez bardzo szeroki wjazd wchodzimy pod dach domu. Z wjazdu prowadzą drzwi na prawo do kurnika, na lewo do obórki; w wjeździe znajduje się też kupa kompostowa; nawprost zaś otwierają się szerokie wrota, przez które w czasie żniw przejeżdża wóz drabiniasty ze zbożem (!); za wrotami znajduje się środkowa część domu zwana *diele*, tam od wejścia z lewej strony wyglądają po przez wyżłobienia w ścianie łby krów gospodarskich; tutaj też z prawej strony leży zboże w snopach i ziarnie; podłogi niema, tylko z gliny mocno ubite „klepisko,“ na którem młóci się zboże. W przeciwległym końcu tego pomieszczenia znajduje się ognisko, przy którem rządzi gospodyni; na żelaznych łańcuchach wisi kocioł; ogień nigdy na kominie nie gaśnie. Z *diele* prowadzą dwoje drzwi: jedne do ogródka na zewnątrz, drugie do właściwej izby. W starych domach niema alków i specyalnych izb sypialnych; gospodarze z rodzinami sypiają w szafach na półkach, wmurowanych w ściany, nazywanych *Butze* (architektonika przypomina okręty i wagony sypialne). Pokój właściwy jest zawsze pusty, dzieci bawią się przez dzień cały przy kominie.

Wyniki ankiety nie dają się wcale uogólnić. Autor powołuje się na wskazania hygieny tegoczesnej, żądającej minimalnie 10 metrów sześciennych miejsca w mieszkaniu dla dorosłego (na skali dobrych lub złych mieszkań 10 metrów przyjęto, jak zero na ciepłomierzu; poniżej 10 znajdują się złe mieszkania, powyżej 10 średnie, powyżej 16 najlepsze; 16 metrów sześć. stanowi w tej dziedzinie ideał). Wśród zbadanych mieszkań ilość ostatnich jest nieznaczna, aczkolwiek w każdej dzielnicy, w każdym niemal powiecie mają przedstawicieli; najliczniejsze są mieszkania średnie.

Najlepszem było mieszkanie na królewszczyznie w Fischhausen (obwód Królewiecki), gdzie najemnik (fornal) posiada: osobną kuchnię, 2 izby mieszkalne, izbę dla posyłki. Wysokość izb wynosi 3 metry; izby liczą: 8 (kuchnia), 20,11 i 8 metrów kwadr. powierzchni. Na głowę wypada 27 metr. sześciennych. Ściany pokryto gipsem, tak samo pułapy — co znakomicie ułatwia wszelką dezynfekcyę. Podłogi drewniane, piece kaflowe ze znakomitą wentylacyą całego mieszkania za pomocą rur, przeprowadzonych pod podłogami, i fundament, pokryty asfaltem w celu uchronienia od wilgoci. Poddasze nader obszerne (34 metry kwadr.), duża stajnia z pułapem, krytym gipsem, ustęp przenośny, studnia doskonała. Koszt takiego mieszkania (domu) wynosi 3,000 marek. Podobne, jako dobre, oznaczono mieszkania znajdujące się w Poznańskiem w powiecie Międzyrzeckim i w dobrach Wroniawy.

Oto jakie rezultaty dała ankieta mieszkaniowa w Prusiech. Wspomnieliśmy wyżej, że późno dopiero pojawiła się kwestya mieszkań dla robotników wiejskich w polu widzenia publicystów i polityków niemieckich. To dopiero konieczność, *der Zug vom Lande* — jak nazywają nasi sąsiedzi przedmiot zajmujący nas w artykułach niniejszych — oto co zmusiło ich do zastanowienia się śród barwnego kwietnika przeróżnych środków obronnych i nad tym jednym: czy to nie tragedya mieszkaniowa nakłania Michela do ucieczki ze wsi? A tu wnet rodziło się inne pytanie: czy, reformując tę kwestyę, budując nowe, inne mieszkania, nie udałoby się zatrzymać go? I oto przedewszystkiem rozpisano ankietę.

Forma sylogizmu czy droga rozumowania najzupełniej naturalne. Naprzód dyagnoza, potem terapia.

Przedstawiliśmy też, idąc za przewodnikami naszymi, w powyższem krótkiem zestawieniu wnioski, jakie redaktorowie ankiety ze swego materyału statystycznego wyprowadzili. Zobaczymy zaraz, jaką przepisali kuracyę pacyentowi, w jaki sposób postarali się, czy też starają się złemu zaradzić.

Zen. Por

O prawdę.

Czy w kraju można zatrzymać całą tę część ludności, która chleba u siebie nie znajduje i przez to kraj opuszcza — na to pytanie ekonomiści oddawna odpowiedzieli: rozwój przemysłu nie postępuje dość szybko, aby dać zajęcie wszystkim bezrolnym i ogromnej większości małorolnych, że jednak zaściankowo-szlacheckie poglądy na wychodźctwo niezupełnie dały za wygraną, o tem nas przekonywa występ p. Gruszeckiego w nr. 17 *Tygodnika ilustrowanego* z r. b. Przedewszystkiem na jakiej zasadzie p. Gr. zabiera głos w sprawie tak doniosłej, jak osadnictwo polskie w Paranie? Czy to jest ekonomista zawodowy, który od wyżyn teoryi przechodził do zagadnień gospodarczo-społecznych, do bolączek życiowych i zawsze umiał rzucić snop światła, rozstrzygnął trapiące wątpliwości? Zobaczmy!

P. Gr. jest znanym z kilku powieści, śród których wyróżnieją się „Tuzy,“ powieść chromiająca na punkcie typów dodatnich, ale świetna jako odtworzenie pewnej sfery społecznej — stworzenie typu Wireckiego jest prawdziwą zasługą p. Gr. — oraz bardzo udatna, gdy chodzi o przedstawienie stosunków panujących w przemyśle cukrowniczym, w tym wypadku p. Gr. bardzo zręcznie wywiązuje się z przyjętego na siebie zadania i dlatego na zawodowcach sprawił wrażenie człowieka, który w cukrowniach wiele widział, umiał patrzeć, a reszty się domyśleć. Pomijając inne powieści tego autora („Rugiwojscy,“ „Szarańcza“ i inne), rzeczy wogóle dobre, przejdę do „Kretów“ i „Hutnika,“ które wyłącznie mają być odzwierciedleniem stosunków w górnictwie węglowem i hutnictwie cynkowem. Jeżeli p. Gr. sądzi, że krótki jego pobyt w Zagłębiu Dąbrowskiem pozwolił mu poznać sferę górników i hutników i że zrozumiał rodzaj ich życia, tak odmienny od wszelkich innych sfer w kraju naszym, jest to grubem złudzeniem. Typy przedstawione przezeń — to nie odbicie chodzących po ziemi i pod ziemią („na dole“ — w gwarze miejscowej) górników, ale samorzutny płód wyobraźni. Pozwolę sobie na pewne porównanie: przy czytaniu „Kretów“ mimowoli nasuwa się „Germinal“ — nawet krytyka wytykała p. Gr. zapatrzenie się na Zolę — ale cóż za różnica! Znając uprzednio okolice Valenciennes, Lens i Douai, przy czytaniu „Germinala“ co chwilę musiałem przyznawać, że tak wyglądają krajobrazy i ludzie, oraz że takie sytuacye są nietylko możliwe, ale i konieczne: czytając zaś „Kretów,“ w samym środku Zagłębia Dąbrowskiego pytałem się, co to ma być, bo jeżeli nie jest zbiorem anegdotek z trzeciej ręki, to niczem nie jest: co się tyczy „Hutnika,“ to jako paroletni urzędnik huty, nazwanej przez autora „Reginą,“ mogę go zapewnić, że nawet organizacyi pracy nie zrozumiał, że w początku powieści, gdy mówił o wytapianiu cynku, pod postacią wyjaśnień dla czytelników uczęstował ich takiemi bzdurstwami, że czytający chemik mógłby wpaść w melancholię; w obu zaś powieściach tak mu się udało odtworzenie gwary miejscowej, że pod Dąbrową ani hutnik, ani górnik by jej nie zrozumiał (p. Gr. w pościgu za realizmem kładzie w usta górnika wyraz „brechać,“ który jest najczystszym ukrainizmem). Rozumie się, że typy i charaktery, starcia gromad ludzkich i ich cierpienia, odmalowane na tle tak cudownie zbadanem i zrozumianem, mają w sobie coś melodramatycznego może w oczach publiczności warszawskiej, ale są farsą w oczach ludzi znających stosunki miejscowe. Również przed trzema laty w *Tygodniku ilustrowanym* p. Gr. zamieścił szereg artykułów pod obiecującym tytułem: „Polacy w Niemczech“; tymczasem po przeczytaniu wynosi się wrażenie, że nie warto było podejmować umyślnej podróży, aby przywieźć tak mało danych, ale nie tyle skąpy plon raził czytelnika inteligentnego, ile przebijająca się pewność autora, że odkrył Amerykę. Miły Boże! Toż inżenier D., na którego powołuje się p. Gruszecki, kilka lat pracował w Niemczech w jednem z ognisk przemysłowych, ściągających obieżysasów, toż znam innych, którzy osobiście rozmawiali z obieżysasami na brunświckich polach buraczanych, przy nasypach kolejowych pod Hannowerem i w porcie hamburskim, zawsze pilnie badając warunki pracy i wszystko, co tylko dotyczyło obieżysasów, ale ci wahali się z ogłoszeniem drukiem swych spostrzeżeń, bo, chociaż to byli ludzie wykształceni pod względem ekonomicznym, tyle cenili publicystykę, że obawiali się wystąpić z rzeczą urywkową, może jednostronnie zbadaną: ale co innego p. Gruszecki, ten pojechał, spojrzał i zrozumiał. Niechby tam we własnem mniemaniu i rozumował, ale po co dawać publiczności rzecz po łebkach obejrzaną i po co *Tyg. ilustr.*, pismo poważne i zasłużone, tytułuje p. Gruszeckiego swym specyalnym korespondentem, kiedy on, będąc zdolnym powieściopisarzem, ani ekonomistą, ani publicystą nie jest.

Jesienią roku zeszłego p. Gruszecki, znowu jako korespondent *Tyg. ilustr.*, pojechał do Parany, aby zbadać los wychodźców polskich. Czy czasem już nie za wiele tych badaczy Parany? Bo przypomnijmy sobie ten szereg: Dygasiński, Hempel, Łazarewski, prof. Siemiradzki, Glinka, ks. Chełmicki (ci dwaj panowie wcale nie mieli zamiaru badać, a chcieli przekonać w Paranie naszych Wojtków i Bartków, że nie należy opuszczać kraju i przez to zmuszać obywateli wiejskich do zapłaty wyższej, niż 7 i pół kop. za zimowy dzień roboczy), dr. Kłobukowski, ks. Wolański, powtórnie prof. Siemiradzki, Okołowicz, Dmowski, Bielecki i Gruszecki. Zdawałoby się, że sprawa powinna być wyjaśnioną, a tymczasem w nr. 18 *Prawdy* słuszną zwrócono uwagę, że następni badacze zadają kłam swym poprzednikom i w ten sposób coraz bardziej tumanią sąd ogółu. Zapewne, że prof. Siemiradzki powinien się wytłomaczyć z zarzutów czynionych przez p. Gruszeckiego, ale dr. Kłobukowski nie ma obowiązku odpowiadać na nieprzystojną zaczepkę p. Gr. w nr. 17 *Tyg. ilustr.* z r. b. *).

*) Co do faktycznego sprostowania, to pomimo całej swej pewności nie ma słuszności p. Gr., wy-

Na zakończenie pozwolę sobie przytoczyć wnioski, do jakich doszedłem na podstawie pilnego, wolnego od wszelkich sympatyj dla ograniczeń paszportowych, badania objawów naszego wychodźctwa. Wobec silnego przyrostu naturalnego, a niepodążającego za nim rozwoju przemysłu, wychodźctwo jest koniecznością nieuniknioną; jest tam nawet w chwilach gorączki przemysłowej, jak np. w latach 1898 i 99, kiedy w górnictwie brakło rąk roboczych; z północnych i zachodnich części Królestwa krocie wyszły do robót polnych w Niemczech, a zjawisko to da się w taki sposób wytłomaczyć, że proletaryat rolny tylko w mniejszej części godzi się z myślą o fabryce, a większość poszukuje zajęcia, do którego przywykła, to też agenci wysyłani przez przedsiębiorców górniczych do gub. Płockiej i Łomżyńskiej nie mogli sprowadzić robotników, chociaż ofiarowywali zarobki wyższe, niż agenci z Niemiec, bo robotnik przekładał dalszą wędrówkę, byle tylko mieć rodzaj zajęcia, z którem się zrósł od maleńkości. To samo słyszałem przed 10—12 laty od wychodźców z pow. Rypińskiego i Sierpeckiego do Ameryki półn., że ogromna większość rada jest, gdy się dostaje do farmera i na lato, pomimo mniejszych zarobków przy roli, wychodzili z fabryk do robót polnych. W tem widzę jedną z przyczyn stale wytwarzających wychodźctwo do Brazylii, czasami gromadne, czasami ledwie sączące się, ale wciąż mamiące możnością łatwego nabycia kawałka roli. Co do Stanów Zjedn. Ameryki półn., to chociaż wychodźcy potrafili tam wytworzyć własne parafie i towarzystwa o celach kulturalnych i gospodarczych, to jednak ogół warunków nie sprzyja utrzymaniu języka i odrębności kulturalnych, w Paranie zaś nietylko osady powstałe przed gorączką 1891 r. są w stanie bardzo zadawalającym, lecz i powstałe w r. 1891 oraz później po paru latach ciężkich przejść doszły do pomyślności o wiele przewyższającej stopę życiową naszego chłopa. Wobec tego, jeżeli chłop bezrolny lub małorolny chce kraj opuścić, a można mu doradzić, to gdzie go skierować? Mojem zdaniem, odpowiedź jest tylko jedna: do Parany, bo znajdując tam sporo swojaków, łatwiej uniknie wyzysku i nędzy, czyhających nań w każdym innym wypadku. P. Gruszecki jednak daje inną radę w tej sprawie, oto, że w braku zarobku u nas łatwo o zarobek w Niemczech, niepomny, że przed trzema laty obieżysastwo sam ogłaszał za nieszczęście i w dodatku nie pojmując, że rozwój przemysłu w Niemczech może się zmniejszyć, albo i zupełnie ustać, a wówczas robotnik polski będzie tam zbytecznym; co mu wtedy poradzi p. Gr? — a no, chyba z głodu umierać, byle tylko nie drażnić w p. Gr. dziedzicznie szlacheckiego wstrętu do wychodźctwa chłopów. Nie wiedzie się p. G., gdy tylko dotyka spraw gospodarczych, bo twierdzi, że nikt nie myślał o wydobywaniu żelaza w Paranie; otóż nieco inaczej rzecz się przedstawia: jedna potężna firma metalurgiczna ze Szląska już przed kilkunastu laty stwierdziła doskonałe widoki dla przemysłu żelaznego, a że dotychczas brak dróg stoi na przeszkodzie rozwojowi hutnictwa żelaznego, to wcale jeszcze nie przesądza przyszłości, ale takie rzeczy nie powinny być rzeczą obcą dla oświeciciela społeczeństwa.

Pan Gr., występując przeciw wychodźctwu chłopów, ani w przeszłości, ani dzisiaj nie jest odosobnionym — dzieje przymocowania chłopów do ziemi w wieku XV pokazują, że ziemianie wówczas już powodowali się tą samą obawą o brak robotnika, co i dziś, a prawie każdy ziemianin, wzdychający do takich lub owakich ograniczeń dla opuszczających zagon chłopów, jest duchowym bratem p. Gr. — dla tej kategoryi nie istnieją takie drobnostki, jak nieuniknioua konieczność wychodźctwa, to też i p. Gr. nieprzychylnie sądzi tych, co śmią patrzeć dalej, niż koniec swego nosa. Bardzo być może, że p. Gr. występując przeciw wychodźctwu do Parany, zrobił pewne wrażenie na niekrytycznie czytającej publiczności, ale na ekonomistach i wykształconej części społeczeństwa sprawił takie same, jakie przed trzema laty sprawił „Kretami“ i „Hutnikami“ na górnikach i hutnikach.

Skarbnik.

---

pierające się dyamentów w rzece Tibaji, bo dyamenty są (*Wszechświat*, źródło niepodejrzane, podał o tem wiadomość niedawno), chociaż ich wydobywanie nie opłacałoby się.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Sudieb. Gazeta* donosi, że komisya, utworzona w celu przejrzenia ustawy sądownictwa, projektuje zaprowadzenie sądu przysięgłych, zamiast koronnego do spraw prasowych, przyczem skład sędziów ma być „specyalny.“ Jeśli wiadomość ta okaże się prawdziwą — pisze *Wołyń* — to należy ją powitać, jako wysoce pożądany objaw dla całej prasy, a zwłaszcza prowincyonalnej. Wyroki sądu przysięgłych dlatego mają tak wielkie znaczenie, iż zwykle są echem opinii ogółu. Chodzi jednak o to, że sąd przysięgłych w zwykłej swej formie, nie zawsze może być odpowiednio przygotowany do sądzenia spraw prasowych i dlatego pożądanem byłoby wielce, aby sąd taki zbierał się w specyalnym komplecie, złożonym z osób, które są obeznane z rzeczą, jaka ma podlegać ich rozpatrywaniu. Głos opinii publicznej, reprezentowanej przez sędziów przysięgłych, najlepiej określi, o ile gazeta zboczyła z tej drogi, po której kroczyć powinna, pragnąc służyć dobru ogólnemu.

Ruch kobiecy. W Berlinie powstało stowarzyszenie mające na celu udzielanie pożyczek bezprocentowych kobietom uczęszczającym do uniwersytetu. Do komitetu organizacyjnego należą między innemi prof Benda, prof. Konig, panie: prof. Lydia Rabinowicz, dr. Agnieszka Bluhm, dr. Elza Neumann i in. Na skutek odezwy komitetu złożono już 13 tysięcy marek ofiar: kapitał żelazny powinien wynosić 25 tysięcy. Zapomogi mogą otrzymywać „wszystkie kobiety, obywatelki niemieckie, które co najmniej od roku (2 semestry) uczęszczają do uniwersytetu niemieckiego albo zagranicznego, a w chwili zgłoszenia się o zapomogę imatrykulowane są w którymkolwiek uniwersytecie niemieckim.“ Byłoby może na czasie pomyśleć o podobnej kasie pomocy dla naszych kobiet, uczęszczających do uniwersytetu, a często w chwilach nagłej potrzeby (przy zdawaniu egzaminów, otrzymywaniu dyplomu itd.) borykających się z niedostatkiem, skutkiem którego studya nadmiernie bywają przeciągane.

Biblioteki. Lipska fundacya im. Komenjusza (Biblioteka pedagogiczna) powiększyła się w ostatnim roku o 4,291 dzieł i liczy obecnie 90,495 numerów. Trzecia część wpływów została kupiona, reszta pochodzi z darowizn. Korzystało z czytelni 3,685 osób, które wypożyczyły 14,685 tomów. Czytelnia (na miejscu) była odwiedzana przez 750 osób. Biblioteka otrzymuje subwencye od rządu saskiego (ministeryum oświaty) — 400 marek, od pruskiego min oświaty 500 i od miasta Lipska 1,000 marek rocznie

— Lipskie stowarzyszenie urządzania czytelni publicznych otworzyło już drugą z rzędu czytelnię publiczną dzienników i czasopism specyalnych w mieszkaniu udzielonem tytułem darmym przez zarząd miasta.

— Księgarz berliński, Hugon Heinemann, urządził własnym kosztem wspaniałą bibliotekę i czytelnię publiczną, liczącą już dzisiaj 78 dzienników i 265 czasopism bez różnicy poglądów. Czytelnia jest urządzona na 150 osób.

— Wydawca angielskiego dziennika *Echo*, Passmore-Edwards, otworzył w Acton bibliotekę publiczną, którą na początek wyposażył w 7,000 tomów do wypożyczania na zewnątrz, a 8,000 do czytania na miejscu i 3,000 t. encyklopedyj, słowników i podręczników. Przy otwarciu czytelni oświadczył fundator, że chce obchodzić uroczysty początek nowego stulecia w ten sposób, że własnym kosztem założy w Londynie i na prowincyi 20 bibliotek publicznych.

— Zarząd Stowarzyszenia niemieckiego szerzenia oświaty (Gesellschaft für Verbreitung von Volksbildung) odbył poprzedzające ogólne zgromadzenie posiedzenie. Budżet roczny wynosi 71,648 marek. Na zakładanie nowych bibliotek przeznaczono 23,608 m. Charakterystycznym jest fakt, że od 1 stycznia do 17 lutego r. b. wpłynęło do biura Towarzystwa 314 żądań założenia biblioteki. W tym czasie rozesłano do 92 bibliotek już istniejących 5,000 tomów. — Ogólne zgromadzenie Towarzystwa odbędzie się 19 i 20 maja w Heidelbergu. Przedmioty obrad: uniwersytety ludowe; związek pomiędzy oświatą i moralnością ludu; rozpowszechnienie pism popularnych. Do tych obrad wrócimy niebawem

Wereszczagin i legat im. Nobla. Słynny malarz rosyjski, Wereszczagin, bawi obecnie w Chrystianii, aby popierać swoją kandydaturę do nagrody im. Nobla (znanego nafciarza kaukaskiego), która ma być przysądzona w roku przyszłym po raz pierwszy mężowi, co największe w danej chwili położył zasługi dla sprawy pokoju powszechnego. Nagroda wynosi 200 tysięcy koron. Wereszczagin jest przekonany, że nagroda tylko jemu przyznana być może i ażeby dobrze dla siebie usposobić opinię, przywiózł do Chrystianii cały szereg obrazów batalistycznych, które niedawno były wystawione w Warszawie. „Wiem — oświadczył on świeżo w rozmowie z pewnym dziennikarzem norweskim — że mam wielu współzawodników. Nie należy ich brać poważnie. Tak np. Dunant, założyciel „Czerwonego Krzyża“ wcale nie działał na rzecz pokoju powszechnego, przeciwnie — na rzecz *wojny* raczej, albowiem starał się tę ostatnią uczynić bardziej ludzką. Jest on tylko dobroczyńcą ludzi, ale nie krzewicielem pokoju... Wymieniają również, jako współzawodnika Tołstoja; sprawa pokoju nie ma mu nic do zawdzięczenia. Ja zaś za pomocą moich, ściśle odpowiadających rzeczywistość i prawdzie, obrazów, wzbudziłem w jak najszerszych kołach głęboki wstręt; do tej chwili nie wiadomo było wcale, czem jest bitwa i jak wygląda pole walki. Teraz wiedzą już o tem ludzie!“ Nie mamy powodu nie wierzyć korespondentowi *Gazety Frankfurckiej*, w takim zaś razie nie wiemy doprawdy, co powiedzieć o tej odzie na cześć samego siebie.

Kwiaciarze a duchowieństwo. Przed kilku tygodniami zwrócił się w Paryżu Abbé Leroy za zgodą arcybiskupa paryskiego, kardynała Richarda, z okólnikiem, w którym przemawia za odprawianiem mszy za dusze zmarłych, co ma zastąpić zwyczaj składania bukietów i wianków na grobach. Okólnik ten wywołał niezmiernie silny ruch pomiędzy handlarzami kwiatów, którzy utworzyli z tego powodu związek i zwrócili się za pośrednictwem kilku deputowanych do parlamentu, żądając, aby ten ujął się krzywdy *600,000* osób pracujących w zakresie kwiaciarstwa francuskiego W petycyi mówią przedewszystkiem, że propaganda wyszła z łona kongregacyi, dla której Francya jest zamknięta — od Jezuitów i że nawet kardynał Richard przyłączył się do agitatorów, dążąc do zwiększenia dochodów duchowieństwa kosztem robotników i drobnych handlarzy. „Izba zechce zrozumieć, że pod maską czcigodnych uczuć religijnych kryje się w tej propagandzie współzawodnictwo handlowe — urzędników państwowych, którzy są najzupełniej wolni od ciężarów podatkowych, jakie my ponosić musimy.“ Abbé Leroy oświadczył wobec tej petycyi żal z powodu, że okólnik jego obraża interesy robotników, jednak — nie cofnął go wcale.

Maszyniści. Poruszono obecnie sprawę zwiększenia liczby szkół technicznych kolejowych. Motywy są następujące: Dawniej o posady maszynistów ubiegali się inżenierowie-technolodzy i w tym celu po dwa lata, a nawet dłużej pełnili obowiązki palaczów. Dzięki temu koleje miały wówczas doskonałych maszynistów, uzdolnionych teoretycznie i praktycznie, a więc i wypadki na kolejach bywały rzadkie. Obecnie zdarzają się one coraz częściej, gdyż posady maszynistów obejmują uczniowie natychmiast po opuszczeniu ławy szkolnej. Jeżeli chodzi o wypadki, to są tu jeszcze inne przyczyny, niewyszczególnione w motywach: przeciążenie maszynistów pracą.

Osobiste P. A. Niemojewski zaprzestał prowadzić dział sprawozdań teatralnych w *Prawdzie*.

Sprawy ekonomiczne. Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawę Towarzystwa zaliczkowo-wkładowego w Stopnicy, tudzież ustawę Towarzystwa zaliczkowo-wkładowego w Bobrujsku.

— W Warszawie zawiązało się Towarzystwo rolnicze. Na prezesa powołano Macieja ks. Radziwiłła, na wice-prezesa p. Janusza Śliwińskiego, który się zrzekł mandatu. Powołano więc na jego miejsce p. Stanisława Dzierzbickiego

— Korespondent *Warszaw. Dniew.* z pow. Bialskiego, w Siedleckiej gub., donosi o sprzedaży dóbr Słowatycze ks. Hohenlohe. Nabywcami są hr. Rostworowscy i p. Dziewicki. Są to już ostatnie dobra ks. Hohenlohe w Rosyi. W ciągu ubiegłych lat dwóch najpierw sprzedano ogromne dobra wileńskie, później bialskie, domaczewskie w gub. Grodzieńskiej, wreszcie folwarki w obrębie gminy Sławatycze z dużymi lasami. Ogólna wartość wszystkich sprzedanych dóbr wynosi kilka milionów rubli. Mniej wartościowe są dobra Sławatycze, złożone z 6 folwarków średniej wielkości. Ze sprzedażą tych ostatnich dóbr — mówi *Warsz. Dniew.* — włościanie stracili dogodną sposobność nabywania gruntów folwarcznych i lasu.

Odpowiedzi Redakcyi.

Stowarz. naucz. w. m. w Łodzi. Żądane numery z r. 1898 i 1899 są wyczerpane.

M. B. w Warszawie. Część I Maksimowa — rb. 1 kop. 20. Zeszyt I części III — 30 kop.

Panu S. A. w Kijowie. Za zmianę adresu płaci się 20 kop.; Sz. Pan zmienia już po raz trzeci.

Panu Grützh. w Łodzi. Dodatek wychodzi w czterech zeszytach, które bywają rozsyłane w końcu każdego kwartału.

SPROSTOWANIE. W poprzednim nr. na str. 224 w „Listach o Galicyi,“ wiersz. 17, druga szpalta, zamiast: „emigracya jest objawem, wywołującym gruntowną poprawę stosunków,“ ma być: „objawem, uzasadniającym potrzebę gruntownej poprawy itd.“ Na str. 225, wiersz 8, trzecia szpalta, zamiast: „co wypowiedziano w sejmie z większością szlachecką“ ma być: „iż wypowiedziano po raz pierwszy szlacheckiej większości sejmowej.“

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Мая 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.